

F. 7571



MARYA KONOPNICKA.

I.

Krytyka utworów ludzi żywych jest zawsze rodzajem wiwisekcyi, bo gdyby nawet krytyk zechciał całkowicie wyrzec się wywiadywania i opowiadania publiczności, ile razy danemu pisarzowi zdarzyło się skłamać lub zazdrosnym się okazać, będzie on musiał przecież szukać w utworach nastrojów i myśli autora, a stąd wypłyną jasne, chociażby najstaranniej w bawełnę obwijane lub nawet zgoła przemileżane wnioski co do pewnych cech stałych jego umysłu i serca. Niemile wogóle grzebanie się we wnętrzu cudzej duszy na ten raz wyjątkowo jest przykre. Mam tu na myśli nie głos sprzecznego z krytyką obowiązku galanteryi dla dam, bo z tej kolizyi nader dogodne widzę wyście: nazwałeś się grzybem, chodź do kobiałki, czyli: Konopnicka pracą swoją na niwie literackiej w zupełności zasłużyła, aby ją w stosunkach piśmienniczych traktowano jako pisarza, nie zaś jako damę przedewszystkiem.

O coś innego mi tu chodzi. Zdaje mi się, że dusza, której wiwisekcyą obecnie przedsięwiorę, jak żadna inna, boleśnie odczuje chłodne a krwawiące dotknięcie skalpela analizy. Ilekroć dawałem spokój nieubłaganym postulatom estetycznym, ilekroć odsuwałem na stronę miarę, pod którą krytyk stawia pisarza, niby rekruta, o którym orzec trzeba, czy wzrost do gwardyi, czy do armii, czy też do uwolnienia go kwalifikuje, — tyle razy, poprzez mgłę cudnych i niecudnych, mądrych i wszelkich innych wyrazów i zdań Konopnickiej, widziałem duszę kobiecą, niezwykle wrażliwą na wszystko piękne i dobre, pełną czułości

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

1894
<http://rcin.org.pl> 7571

i współczucia dla wszelkiego cierpienia... Nie zbierałem wiadomości o życiu osobistém poetki i nie znajduję chyba czytelnika gorzej odemnie pod tym względem poinformowanego, nie wątpię jednak, po wezwaniu się w jej pisma, że w romansach i natchnionych pieśniach poetów wielbimy nieraz bohaterki, stokroć biedniej uposażone w owe skarby niewieście duszy i serca, nie wątpię też o wyższości jej ogromnej ponad przeciętnym, wykształconym moralnie i umysłowo człowiekiem, niezdolnym żyć samym tylko chlebem, jej bowiem dusza, jak żadna inna, zdaje mi się pragnąć i łaknąć „słowa Bożego”.

Niestety! nie z samym tylko tłumem, chociażby najbardziej ucylizowanym, lecz i z wielkimi szafarzami owego „słowa” będziemy tu musieli porównywać Konopnicką.

II.

Jak wiadomo, nie czekano na mnie z wygłoszeniem we wszystkich tonach całej gamy sądów o dzieciach ducha poetki, nie zaszkodzi więc tu krótka historia tych pochwał i nagan. Odrzuciwszy poprzedzające ją zwykle, dotyczące się doby pre-historycznej, domysły i przypuszczenia, zwróć się wprost do faktów.

Sienkiewiczowi, którego tęsknota do nieznanego tyle razy na długie wędrówki po dalekich obcych krajach posyłała, stęsknionemu już niechybnie wówczas do własnego, dostaje się do rąk gdzieś za oceanem najmelodijniejszy i jeden z najpiękniejszych wierszy Konopnickiej („Przygrywka w górach”), prawdziwie śpiewający o tém, „jak pociąga, wabi i nęci dal sina, nieznana”, kiedy się u siebie „zna wszystko... jest się sytym—aż do znudzenia.” Jeśli dodamy do tego isticie lenartowiczowski obraz wioski naszej, to stanie się łatwo zrozumiałem wzruszenie Sienkiewicza, w którym struny duszy najbardziej napięte tak mocno zostały poruszone, wzruszenie, które kazało mu jeden z listów swych z Ameryki poświęcić wierszykowi poetki, nieznanemu mu dotąd nawet z imienia. Nie zdaje mi się rzeczą pewną, iżby tenże sam pisarz, siedząc spokojnie w Warszawie, takim samym zachwytem powitał nawet tę samą „Przygrywkę” (szczególnie zaś po przeczytaniu całego cyklu „W górach”), nie ulega jednak wątpliwości, że ten hołd zza oceanu ciężko zaważył na szali powodzenia Konopnickiej.

Niebawem zaczynają się już rozlegać i inne głosy uwielbień dla najsłabszych nawet „pierwiosnków” poetki, rozrzucanych po szpaltach pism peryodycznych. To też pierwszą książkę jej („Fragmenta drama-

tyczne z przeszłości", 1881) wzięto zupełnie na seryo: prasa postępową, zachwycona dogadywaniem impertynenckiem Panu Bogu i jego wojującemu kościołowi, przyjęła je owacyjnie, — zachowawcza zaś, dla tych samych powodów, okrzykiem zgrozy. Wówczas łamy „Ateneum” wyłaly na głowy rozognione kubel zimnej wody, wykazując najdowodniej, że rewolucyjność straszliwa „Fragmentów” jest w gruncie rzeczy najzupełniej niewinna i niegroźna.

Ta właśnie, być może, okoliczność tak uspakajająco wpłynęła na nerwy sprawozdawców barw wszelkich, iż I-szą seryę „Poezyi”, natychmiast po „Fragmentach” na rynek księgarski rzuconą, powitało milczenie przeciągłe. Dopiero J. I. Kraszewski rozwiązał języki, zamieszczając w „Kłosach” (7 sierpnia 1881 r.) obszerną tych „Poezyi” ocenę, której nazwa krytycznej niekoniecznie się należy. W omawianym przez siebie zbiorze widzi sławny powieściopisarz „talent przepotężny, pracą a trudem spotęgowany”, a opierający się na „mistrzostwie słowa”; „perłą najśliczniejszą”, „najoryginalniejszym z pomiędzy innych wielkiej urody poematów” jest dla niego „Romans wiosenny”. Co prawda, wyrывa mu się ciężki zarzut, w gruncie rzeczy w nie obracający wszystkie zachwyty i dziwnym trafem najzupełniej niesprawiedliwy: „poetka rozumié wszystko, nie odczuwa pono nic, oprócz wielkiej zagadki życia”, to téż „nie ma tu nic dla serca, pozostaje ono nieporuszoném”. Co właściwie mogło skłonić sędziwego pisarza do téj wycieczki na manowce krytyki, — trudno się domyślać. Może było w tém coś z uprzedzeń w rodzaju tych, jakie sprawiały, że Mickiewicz za spadkobierców swego posłannictwa ogłaszał czasem ludzi najzupełniej nie zdolnych do dźwignięcia podobnego ciężaru?... Że możnaby może było opowiadać o „talencie przepotężnym” po przeczytaniu „Prometeusza”, „Imaginy”, III-jej seryi „Poezyi”, nie mówiąc już o „Moich znajomych” lub „Na drodze” — nie będę przeczył, ale z powodu pierwszej seryi?... Zresztą zachwyty szczere z serca płyną, a tu ono „zostało nieporuszoném”: czy może być mowa o talencie poety, który „nie nie odczuwa”, kiedy najpierwszym warunkiem prawdziwej twórczości poetyckiej (a nawet i wszelkiej innéj) jest właśnie uczucie? Co się zaś tyczy „wielkiej zagadki życia”, to jest ona, szczególnie w tym właśnie tomiku, w tak oplakany sposób reprezentowana, że gwałt chyba trzeba było sobie zadać, żeby posadzić autorkę o odczuwanie jéj w stopniu większym, niż wszelkich innych rzeczy ziemskich i nadziemskich.

Sprzeczności te nie zostały naturalnie podniesione przez nikogo, może nikt nawet uwagi na nie nie zwrócił, same zaś słowa zachwyty, sama forma ich pasowała ostatecznie rozpoczynającą pisarkę na wielkiego poetę; z całej oceny Kraszewskiego najlepiej zapamiętano wydo-

bytą przez niego samego kwintesencją: „Konopnicka może stanąć bez obawy obok największych naszych mistrzów.”

I „postawiono” ją, może i nie „bez obawy” pewnej, obok Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, co się zaś jęj samęj tyczy, to postarała się ona jak najściślej ten wyrok sędziego swego wykonać.

Odrodzonych zapalów i uwielbień nie zdołał już ostudzić nawet nowy kubek lodowatęj wody z poprzedniego źródła pochodzący. Ocena I-ęj seryi „Poezyi” w „Ateneum” (wrzesień, 1881) widzi w twórczyni tęj książki nie słowika leśnego, ani skowronka polnego, lecz kanarka z klatki, przyznając jęj nie mistrzowstwo, lecz jedynie „wirtuozowstwo” słowa; analiza ściśła w cyklu „W górach” wykazuje tu brak plastyki, a w wielu innych utworach „retoryczność” ukrywającą brak szczerych natchnień. Już Kraszewski daje mimochodem dwóch ojców talentowi poetki: Krasińskiego dla ducha, Słowackiego dla formy, — tu zaś napotyamy już bez ogródek wymówiony wyraz „nieoryginalność”. Ów „najoryginalniejszy” z poematów Konopnickięj okazuje się tu wyraźnie dość słabą imitacją „W Szwajcaryi”. Powtarzanie się nieustanne poetki, zarówno w dziedzinach uczucia, jak i rozumu, zdaje się jasno dowodzić krytykowi, że ona „przodowniczką żadnej myśli być nie może, bo jeszcze do zgody ze sobą nie doszła.” Pigułkę tę złości przyznanie pewnego talentu autorce i „świeżości i barwności jęj językowi.”

W roku 1883-im książd Jan Gnatowski zamieścił w „Bibliotece Warszawskiej” bardzo obszerne sprawozdanie z dwóch pierwszych seryi „Poezyi” i z „Fragmentów dramatycznych”. Zachwycając się obrazami natury i przyznając Konopnickięj wielki talent, ostrzega on zarazem, że wśród blasków, w jakie on tak jest bogaty, nie brak błędnych ogni, mogących łatwo młode a zapalne umysły na manowce zaprowadzić. Biorąc zupełnie na seryo zuchwałe wyzwanie, rzuczone staremu porządkowi i ideałom przeszłości, karci jednak wycieczki poetki przeciw Bogu i kościołowi w sposób nietylko właściwy rodzajowi swego kapłaństwa, lecz i rozsądny, a często nawet i doweipnie—humorystyczny.

W roku 1888-ym poprzedni krytyk z „Ateneum” po raz trzeci w tęj kwestyi głos zabiera. Ostatnia serya „Poezyi” zdaje mu się świadczyć, że „poetka do zgody ze sobą już doszła”...

Wspomniawszy jeszcze o niezmiernie jadowitem i wiele za sobą—niestety! — racyi mającém sprawozdaniu Sygietyńskiego („Wędrowiec”, 1884) o „Wrażeniach z podróży”, sprawozdaniu pastwiącém się wprost nad sentymentalném, a beztreściowém często gadulstwem autorki, — będę mógł przejść do właściwęj treści swego artykułu, ponieważ

zaś dalej w toku jego będę musiał używać wyrazów: twórczość poetyczna, geniusz, talent, natchnienie i t. d., postaram się z możliwą ścisłością określić, co przez nie rozumiem. Nie będzie to rzeczą zbyteczną, bo chociaż terminy te napotykamy na każdym kroku, ale nawet traktaty estetyczne niezupełnie jedno i to samo znaczenie im nadają.

III.

Wielki poeta jestto człowiek, którym owłada czasem, samorodnie ¹⁾ powstające i rozwijające się pomimo woli i wiedzy uczucie potężne i trwałe, mocne skupić na sobie, streścić w sobie wszystkie siły jego duchowe — chociażby na przeciąg lat wielu, zdolne oświecić mu jakimś światłem mistycznym wszystko w jego wszechświecie materii i ducha, co tylko z samém uczuciem tém pozostaje w harmonii wewnętrznej, co może być doskonałym jego symbolem. Wówczas w człowieku takim budzi się niezwalczona a nieświadoma w chwili twórczości żądza uwiecznienia ukazujących mu się tak obrazów i myśli, ożywionych uczuciem, jak organizm—życiem, uwiecznienia dla siebie samego, bo świat cały wówczas dla niego nie istnieje. Wyrывa mu się okrzyk, którego tak długo czekał nadaremnie Mefistofeles z ust Fausta: „chwilo, stój!” Jak Hamlet woła do ducha ojca, aby został i złożył mu dowody, czém jest w istocie, chociażby najwyższém przerażeniem go napełniając, tak poeta w wyrazy zakłóć usiłuje cudne swe czy okropne mary. To jest najczystsze źródło natchnień, z którego czerpią wielkie geniusze w chwilach swojej wielkości. Tak powstają dzieła nieśmiertelne, ukrywające w treści swój, niby koncha perłę, jakiś wieczny pierwiastek natury lub duszy ludzkiej, uderzające swą samorodnością, bo w samém tylko naśladownictwie, wpływach przeszłości, otoczenia, warunków bytu i klimatu — darmobyśmy szukali dostatecznych przyczyn ich powstania: fakt pozostanie faktem, że w jednych i tychże samych warunkach żyły miliony, nietylko niezdolne do stworzenia danego dzieła genialnego, lecz nawet do pojęcia go, lub też w pojętém widzące coś nadludzkiego, nadnaturalnego.

Wizye takie jednak niezawsze bywają tak natrętne: nieraz każą tęsknić do siebie umysłowi twórczemu. Największy geniusz wśród rze-

¹⁾ W sposób, nie mający czasem nic wspólnego z jakimkolwiek widocznymi pobudkami czy okolicznościami zewnętrznymi.

czy ludzkich i ludzi, chociażby na twarz przed nim upadających i najmniej wątpliwą wonią kadzidel go otaczających, czuje się człowiekiem, gardzącym, litującym się, w najlepszym razie spokojnym, ale tylko człowiekiem; pośród zaś mar owych, których on ojcem jest tak, jak Ojcem Boga zwiemy, które posłuszne są bezwzględnie najtajniejszym prawom jego własnej duszy, niepomyślanym jeszcze myślom jego, jest on półbogiem czy półszatanem, w każdym jednak razie czémś nadludzkim i nadziemskim. To téż wyteża on wolę, i siła pragnienia podnieca czasem uczucie jego tak potężnie, że wizye genialne stają przed nim, niby duchy na zaklęcie czarodzieja. Te mary przygwałcone bywają czasem mniej wyraźne w grozie swój czy anielskości i żądza zatrzymania ich dla siebie bywa w takim razie mniej rozkazująca; wtedy oczy ducha mniej zobaczą, a słowo mniej z widzianego wyrazi. Myślę, że tak powstają drugorzędne twory geniuszów.

Puszkina powiada, że „dopóki Feb nie wezwie poety do ofiary świętej, jest on może najmarniejszym z marnych dzieci świata.” Nie same tylko nadludzkie uczucia kierują geniuszem, może on nieraz ulegać w życiu najpospolicij ludzkim pobudkom — nawet do tworzenia: żądzy sławy, dóbractw lub bogactw, przyzwyczajeniu wreszcie. Tak rodzą się martwe plody geniuszu. Marne żądze nie obudzą owego demonicznej siły uczucia, i będzie on skazany na kombinowanie nazimno nieoświeconych niem już, ongi w chwilach ekstazy zrodzonych i dziś wywleczonych tylko z pamięci — obrazów i myśli, usiłując je uwiecznić dla ludzi tylko. Ponieważ zaś nie siła wyższa, ale nędzny człowiek z nędzną logiką swą, o krok zaledwo przed sobą widzącą, kombinacje te wytwarzać będzie, zabraknie im owój boskiej harmonii, wynikającej ze zmieniającej się w jedność zgodności bezwzględnej wszystkich wyrażających uczucie twórcy symbolów zarówno w stosunku do siebie jak i do tego uczucia. Zdolają one jeszcze wprowadzić w zdumienie i podziw tłumy, niby robaka lot kurzy, ale mocy wstrząsania i przetwarzania pokoleń będą pozbawione. W takim tworzeniu leży źródło manii. Wolno poecie przyczołgać się do ołtarza, błagając bóstwo o wezwanie do ofiary, ale biada ofiarującemu bez wezwania! — Jeśli w konchach — utworach poety kryją się perły — prawdy mniejszej wartości — rodząca je, siłę twórczą zwiemy talentem. Tém mianem chrzcimy téż zdolność do tak całkowitego przejęcia się duchem danego geniusza, że wpływają z niej utwory, wyraźne piętna tego ostatniego noszące. Czasem przyszłe geniusze wyglądają z początku na talenta tylko.

Talentem téż nazwać należy zdolność do pozbawionych pierwiastka wielkości natchnień krótkotrwałych i przelotnych, ożywianych uczu-

ejami różnych rodzajów lub odcieni. Talent taki może stać się źródłem utworów znacznej wartości, byleby nie usiłujących objąć więcej, niż jeden taki błysk chwilowy ujrzyć i odczuć w sposób twórczy pozwoli, bo zrodzone w wielu takich chwilach obrazy i myśli w jedno połączone muszą już razić w najlepszym nawet razie swą dysharmonią architektoniczną. Czasem jednak poeta taki, kiedy mu już zagasło owo światło przelotne, udaje przed światem — świadomie lub nieświadomie — że jeszcze mu ono płonie. Widome mu już tylko to, co wszystkim innym ludziom, lecz wie on, że można coś widzieć ponad to, czuje zazdrośnie, że są ludzie o wizjach potężnych, wzbudzających podziw i cześć świata. Opanowywa go pragnienie wmówienia w tłumy, a czasem i w siebie, że on też żyje tym życiem demonicznym, o którym niewyraźne pojęcie dają mu własne małe natchnienia. Trawi go żądza odróżnienia siebie — dla siebie samego i dla wszystkich — od tego stada miliardowego: „oni prowadzą księgi handlowe, murują klatki dla własnego użytku, hodują nierogaciznę, — a ja tworzę.” Nędznym nabytkiem dla ludzkości są tak powstające dzieła. Powynajdywane poemacku w mrokach pamięci, najczęściej cudze symbole nieistniejących a niezgodnych uczuć im bardziej pną się do wielkości, tym wyraźniej osiągną zupełnie przeciwnego efektu.

Jeśli powiem mimochodem, że ten właśnie rodzaj talentu i tworzenia mam za właściwy Konopnickiej — stanie się rzeczą zrozumiałą, dlaczego zatrzymam się dłużej na tym punkcie.

Na cały czas nienatchniony chcącemu koniecznie pisać poecie pozostaje jedynie imitowanie pospolite cudzych myśli i obrazów, kombinowanych i wybieranych naturalnie przez chłodny rozsądek tylko, któremu za pobudkę do skierowania uwagi w tę lub inną stronę służyć może — albo traf (tak np. „Sonety krymskie,” „W Szwajcaryi” i t. d. rodzaj „W górach,” „Romans wiosenny” i t. d.), albo też stały jakiś wpływ zewnętrzny, występujący czasem w postaci przekonania własnego, i tej części alternatywy wypada nam się z bliska przyjrzyć.

Przedewszystkiem pewien kierunek literacki, mniej lub więcej dokładnie w formułki określić ujęty (jak był pseudo-klasycyzm lub romantyzm na przykład) łatwo stać się może ujściem dla nienatchnionych pragnień pisarza; do tej też kategorii zaliczyć trzeba uleganie manierze czyjś, kiedy ona sama dyktuje nietylko formę, ale i treść. Dalej, ileż możnaby naliczyć bezdarnych wierszyków i powiastek, przez utalentowane nieraz osobistości pisanych a skierowanych ku umoralnieniu dzieci, panien dorastających lub matek rodzin? Po moście z tendencji moralnych, przejdźmy do tendencji wszelkiego innego rodzaju. Pesymizm, *Weltschmerz*, dążenia narodowościowe, ewolucyjność pozytywna, nawet

materyalizm, każda jedném słowem wielowładna idea społeczna lub filozoficzna bywa na całym świecie kompromitowana przez tysiące głosów niepowołanych, z pośród których będę tu miał na uwadze wyłącznie te, co nie dla żołdu wiwaty na cześć silnych sztandarów wykrzykują.

Bądź cobądź jednak, kto zaciąga słowo swoje do regimentu pewnej idei, szczególnie zaś mniej lub więcej powszechnie za świętą lub wielką uznaną, postępuje najczęściej bardzo praktycznie: znajdzie on moc gotowych chwalców i obrońców dla płodu swęj muzy, najzupełniej niezależnie od rzeczywistej jego wartości artystycznej. I nie naturalniejszego, nietylko nie zwykleszego, bo każdy niemal, w kim obudzona zostanie własna jego idea, poprzednio już złączona nierozzerwalnie z wrażeniem prawdy, piękna i wielkości, ubiera mimo woli i wiedzy w barwy tego wrażenia i sam utwór tendencyjny, i co zatem idzie w nich go i zobaczy, jego rzekomej piękności i wzniosłości przypisując swoje wzruszenie. Mickiewicz bardzo treściwie wyraża to prawo psychologiczne w „Konradzie Wallenrodzie,” mówiąc: „lada słówko obojętne, które dla drugich nie miało znaczenia, w nim obudzało wzruszenia namiętne...”

Utwór tendencyjny jeszcze większych pochwał doczeka się od tych, co udają tylko wierność dla panującej dokoła nich idei, za której znów wroga ryzykuje być uznanym ten, kto mówi o marności rzeczywistej tego utworu. Na co mógłby się narazić, na przykład Włoch, któremu w roku 1850 przyszło do głowy wystąpić ze ścisłą analizą krytyczną jednego z tysiąca efemerycznych, bezdarnych wierszydeł, powtarzających *Italia faru da se?* Zapomnienie prędkie, — to los późniejszy pism takich, niezależnie nawet od tryumfu lub upadku danej idei, przez czas jednak pewien niejedno z nich większą cześć darzone bywa od najpiękniejszych z nietendencyjnych utworów.

Hołd taki jednak niezawsze bywa skutkiem zaślepienia. Niejeden widzi wyraźnie białą fastrygę, łączącą u kogoś cudze czarne szmatki, ale powiada sobie: „słabe to, ale wielu wzrusza, a więc może mieć wpływ dobry.” Jakże często dają się słyszeć przez to jedynie przekonanie podyktowane słowa uznania dla książek marnych, a mających jednak jakoby kogoś uszlachetniać lub podnosić. Wyznam, że pod tym względem sceptycznych trochę trzymam się poglądów.

Zdaje mi się, że wpływać za pomocą słów na ludzi, na kształtowanie się ich poglądów i na ich czyny, można albo przez rozum, siłą logiki faktów i rozumowań, którą to stronę możemy pozostawić tu na stronie — albo też przez uczucie, drogą sugestyi, że tak powiem, tworząc w umysłach nierozzerwalne lub trudno rozerwalne skojarzenia się pomiędzy pewnem pojęciem oderwanem a pewnem poczuciem har-

monii, wzniosłości i piękna, biorącém źródło w harmonii, wzniosłości i piękności danego utworu. To téż dla mnie orzec o wartości utworu samego w sobie, znaczy orzec zarazem, czego warta jego tendencyjność. Argument: „to wzruszyło mnie, albo stu innych” — nie może tu mieć żadnego znaczenia. Przeczytajmy najmniejszą zbiieraninę wyrazów matce, bolejącej jeszcze nad stratą dziecięcia, a byleby znalazło się wśród nich najmniejsze napomknienie o skonie jakiegoś maleństwa — lzy trysną z oczu słuchaczki... Nie sztuka obudzić pewne uczucie, w którym dusza czytelnika doskonale jest wyegzercytowana: umieć wywołać je tam, gdzie znajdziesz zaledwo zarodkową jego możliwość.

Zdaje mi się, że bezdarny utwór tendencyjny tylko wtedy, kiedy natrafi na człowieka bezwzględnie oddanego téj idei, napewno nie okaże się czémś gorszym nad owo lekarstwo z anegdotki, co to nie pomoże, nie zawadzi, często jednak może przynieść ujmę idei saméj, którą usiłuje jakoby wzmocnić. Że nie postawi on jęj w blaskach poezyi przed oczyma tego, komu dotąd sama ta idea, jako, coś jasnego i podniosłego, obcą była — nie warto nawet dowodzić, zwróć jednak uwagę czytelnika na inną stronę rzeczy. Przedewszystkiém bezdarność utworu tendencyjnego będzie łatką śmieszną, na ornacie saméj idei w oczach wszystkich obojętnych, dzięki czemu utrudni nawrócenie się ich¹⁾. Zresztą kogo na chwilę porwie nawet niezrozumiała deklamacya, ten rozezarowanie niechybne co do téj ostatniej może później uważać za rozezarowanie co do idei saméj. Dalej muszę przypomnieć prawo psychologiczne, że wszelkie wrażenie poprzednie, o ile brak wyraźnych powodów do wywołania go w stopniu silniejszym, lub równym, który nazwiemy zerem, obudzi się w stopniu słabszym; stosując zaś prawo to do zajmującej nas kwestyi, należy dodać, że wszystko co tylko będzie zmuszało duszę przeciętnego człowieka do wysiłków niezależnych, świadomych lub nieświadomych, skierowanych ku dociągnięciu temperatury swego wzruszenia do zera, wpłynie na stopniowe osłabianie się w nim saméj zdolności do odczuwania danego, odradzającego się wrażenia.

Postaram się teraz z kolei zilustrować wszystkie swoje twierdzenia powyższe.

Ongi, kiedy Taine o Napoleonie zaledwo tylko w „Historyi Francyi współczesnej, mówił, kiedy zarówno dzięki wpływom zdań, zasłysza-

1) Nie mówię tu o przeciwnikach absolutnych, bo ci znajdują się względem idei w przeciwnym czcieliom, ale najzupełniej analogicznym stosunku.

nych w dzieciństwie najwcześniejszym, jak i „Historii konsultatu i cesarstwa” i wielu innych a przedewszystkiém dzięki wpływom Berangera, Byrona, Lermontowa, Heinego i t. d. — byłem bezwzględny czeicielem Napoleona, zdarzyło mi się wejść do muzeum Würtza w Brukselli. Tam, po prawej ręce, ujrzałem przedmiot czci swojej — w piekle. Napoleon, z rękoma, zwykłym ruchem na piersi skrzyżowanemi, stoi wśród ogarniających go płomieni. Otacza go tłum kobiet, starców i dzieci, miotany wściekłością, rozpaczą, obłędem, przerażeniem — w najrozmaitszych odcieniach. Mnóstwo rąk wyciągniętych ku największemu bohaterowi zniszczenia, do ust mu niemal zbliża poszarpane, krwią ociekające członki ludzkie. Dokoła leżą trupy i konający w agonii... Wyraz bezdennj i bezbrzeżnej rozpacz na twarzy Napoleona — krew w żyłach mi ściał. Otóż, patrząc na obraz ten, szczerze miałem wzniosłego małego kaprała za demona zła, i to wrażenie często się kojarzyło później z wrażeniami, budzonymi przez takich „Dwóch grenadyerów” „Okręt powietrzny” i t. d. A gdyby, stawiam sobie pytanie, Würtz wymalował był cesarza i cały ten tłum z jakimiś głupkowatemi wyrazami twarzy? Czy uwyraźniona już wtedy, wyrażająca jak sztyło z worka, tendencya jego osiągnęłaby zamierzonego celu? Roześmiałbym się niechybnie, gdyby mnie jeszcze wstrętem nie nappełniło rzekome świętokradztwo, Napoleon zaś pozostałby w wyobraźni mojej jako bohater bez skazy.

Wspomniałem o Napoleonie, zapytam więc, dlaczego znów wśród wszystkich inteligentnych ludzi świata da się napotkać jeszcze dziś — wbrew faktom historycznym, najwyraźniej udowodnionym — tak wielka ilość zdolnych, chociażby na chwilę pewną, do ubóstwiania tego potwora genialnego? Czy nie Heine to sprawia swoim „Doboszem Le Grand” i t. d.? nie Beranger swojemi cudnymi piosnkami, które taki wpływ, świadomy zapewne, wywarły na obalenie Bourbonów? czy nie cała plejada innych? Mamże jeszcze mówić o „Chatce wuja Toma,” lub Dantem, którego zważ niektórzy jednym ze zjednoczycieli Włoch?

Dość tych przykładów jednak, a nawet zdaje mi się, że obejda się one bez komentarzy: widać z nich jasno, że utwory niewyrozumowane wywierają wrażenie i zdobywają wpływ tylko siłą zawartego w nich piękna.

Pójdę dalej: wszelkie piękno musi wywierać wpływ. Nie wątpię, że pieśni Homera, tragedye staro-greckie, posągi z Partenonu i t. d., odegrały olbrzymią rolę w odrodzeniu się Grecyi nowożytnj. Twórz piękno, a stworzysz siłę!

Główném przykazaniem dla poetów winno być: „pisz tylko to, co, i jak widzisz, myślisz i czujesz.” Trzymając się go, każdy, co nie nowego i ważnego nie widzi, nie myśli i nie czuje, lub widzi i t. d. mętnie, będzie rozumiał, że nie ma po co głosu zabierać, szczególnie zaś, jeśli chodzi mu o niewytwarzanie skojarzeń pomiędzy drogą mu ideą a wrażeniami nieestetycznemi. Mowa o idei, nie dorastająca miary idei saméj, to dla mnie zmiana dukata na drobne. Jeśli kto dla jakichkolwiek powodów „nie może mówić tak jakby chciał” (wołalbym: jak potrzeba), niech wcale nie mówi, jeśli celem jego nie jest rozrzedzanie i osłabianie uczuć, o których skoncentrowanie i wzmocnienie chodzić winno. I piszący i niepiszący zarówno dobrze uczynią pamiętając, że jeśli obcujący ze sobą ludzie, nie mając sobie wzajem nic nowego i ważnego do powiedzenia, milczą, nie siląc się na rozmowę, mogą myśleć i czuć, lecz jeśli tylko ktoś niepowołany zacznie przemawiać wśród nich, przeszkodzi wszystkim w téj naturalnej pracy wewnętrznej.

Teraz będę już mógł bez odrywania się przystąpić do analizy samych pism Konopnickiej. Długa ta dygresya zdawała mi się konieczną dla zrozumienia wielu następnych zdań moich, a przedewszystkiém dla wytłómaczenia niezmiernéj różnorodności, różnowartościowości utworów poetki. Bez powyższej np. hipotezy co do rodzaju jéj talentu, trudno się nie zdumić, powiem więcéj, trudno uwierzyć na razie, że wszystkie te piękne i wzniosłe, własne lub pożyczone wyrazy uczuć i myśli i wszystkie te dziwaczne i nieudolne kombinacye słów bez znaczenia — z jednego i tegoż samego źródła pochodzą.

IV.

Zanotuję tu niektóre z rysów charakterystycznych, jakie mi przedewszystkiém w utworach Konopnickiej w oczy się rzuciły.

Trudno wyobrazić sobie pisarza bardziéj obcego treści owych dumną wzgardą tchnących słów poety francuskiego:

(...devant toi, o plèbe carnassière!)
 Dechire qui voudra la robe de lumière
 De la pudeur divine et de la volupté!..
 Je ne te vendrai pas mon ivresse ou mon mal!..

Poetka nasza nieustannie usiłuje pokazać *urbi et orbi* najbardziéj nawet własne zakątki najtajniejszej głébi swojej duszy. Pomijając już

fakt, że śpieszy ona podzielić się ze światem każdą myślą, każdym uczuciem, zanim dojrzeją one i uwyraźnią się dla niej samą, lecz zdaje się nawet nie domyślać istnienia złośliwości ludzkiej, tak często skorą do szukania we wszystkiém czegoś złego lub śmiesznego. Już w najwcześniejszych jej utworach uderza taka ufność niezmierna do siebie samej i do ludzi, że mimowoli przychodzi na myśl pytanie: czy dla niej chłód życia, z nieodłącznemi zawodami i rozczarowaniami nie istniał wcale?

Nie będę się zagłębiał w dobę pre-historyczną; nie będę debatował nad pytaniami, co w niej mogło wpływać czynnie lub biernie nad zrodzeniem się lub utrwaleniem takich usposobień, jakotóż pozostawię na stronie pytanie, czy prawdziwe powołanie niezłomne, czy ambicja, czy też co innego rzuciło poetkę w szranki literatury naszej, każąc z pisania zawód sobie uczynić, — pozwolę sobie jednak zaznaczyć fakt, że zachwyty przesadne chórów krytyki warszawskiej, z górującemi w niej wyżej wymienionemi głosami, wyrządziły Konopnickiej jedną wielką krzywdę: uspiły w niej zdolność — wogóle tak rzadką i słabą u kobiet — do analizy przedmiotowej własnych czynów i myśli i uczuć. Już druga serya „Poezyi” doskonałym jest dowodem, że na cały czas — nie opromieniony szczerem natchnieniem, zmuszającym zapomnieć o świecie i sobie samej, jako o osobniku, — Konopnicka najzupełniej uwierzyła, że jest wielkim poetą, prawdziwym „vates”. Dostrzegłszy, jak nieraz ni ztąd, ni zowąd pozbierane wyrazy zdobywały jej poklask i hołdy, skwapliwie przez nią w najliteralniejszém znaczeniu przyjmowane, przyszła ona do przekonania, iż jakaś siła wyższa przez usta jej przemawia, iż dość jej umoczyć pióro w atramencie, aby spłynęło na ludzkość objawienie myśli i woli Bożej. Po cóż wobec tego analizować własne wyrazy, kiedy one ze źródła najwyższej doskonałości płyną? Że w zdaniach tych moich nie ma cienia przesady, niech mi przyświadczy wiersz „Co ja sieję?” (serya II-ga „Poezyi”). Opuściwszy w miarę możności liczne powtarzania się i zdania bez znaczenia, wciśnięte jedynie gwoli miary i rymów, przytoczę go tylko w całej jego treści.

„Przez pola puste... idę i rzucam siew bratniej miłości dla tych, co słabi, i dla tych, co prości, dla tych, co twardą, ciężką mają dolę. I duszę własną wylewam... by z niej, jako z rosy, brały swą plenność jutrzejszych dni kłosa... Ja sieję ciszę... pogodę... w sercach tych, co są maluczcy u świata... Lecz jeśli dreszcze uczuwa kto strachu na widok ramion mych, tulących uściskiem,

co odtrąconém jest i to co nizkiém — winowajcą jest... Ja ciepło sieję, by z niego... światło na myśli błysnęło nam niwie... Ja ducha mego, ja krew moją sieję; ja pragnę wstrząsnąć tę ziemię zoraną, jak grzmot wiosenny, aż jutro z niej wstaną ludzie, godniejsi piastować to miano...

Pójdźcie, obaczcie kto jestem i jaki
Siew rzucam w rolę przyszłości! Zaiste,
Ziarno me zdrowe i płodne, i czyste...
...A ja wam mówię: mój napis mogiłny
Mieć będzie napis: „braterstwo i zgoda“,
I brat tam bratu z miłością dłoń poda,
I pójdą razem — i słaby, i silny...

Słowa moje, jak świat giętkich bieczy, rażą oczy tych, co w spokój zwodnieży chcą ukolysać sumienie upiora... Tak, biczem jestem na serca... Jednych chłoszczę, wstrząsam... drugich, a wszystkich chcę porwać mym duchem ku wielkiej przyszłości. Kto tam iść nie chce... niech się zawczasu w grób położy... bo przyjdzie w słońca promieniach duch Boży i przyszłość ludom na rozcież otworzy...

Ja wam to mówię, ja mówię mam siłę.

Co za ton! co za bezdeń nieświadomości i rozumienia o sobie. Dalsza analiza utworów Konopnickiej sama przez się wykaże, ile tu poszczególnych nieprawd subiektywnych i obiektywnych, tymczasem zaś zwrócę uwagę na jeden tylko punkt. Czy może kto sobie wyobrazić poetę, bohatera miłości i prawdy, proroka, apostoła lub prawodawcę, w którego ustach słowa te wydałyby się skromnemi? Czy nie byłyby one najwłaściwsze, gdyby się tyczyły Chrystusa? Zresztą *vates* z „Co ja sieję” nawet i nad Chrystusem ma mieć tę przewagę, że o klucze od grobu jego, wojen nie będzie...

Wszystko, co wpływało na ukształtowanie się tego przesadnego mniemania o własnej wielkości i znaczeniu, musiało jednocześnie oddziaływać i na sposób tworzenia wogóle. Zdaje mi się, że Konopnicka w końcu za natchnienie nauczyła się przyjmować stale pewien stopień podniecenia, na które składały się: i wzruszenie nieodłączne od świadomości przemawiania do tłumów, chociażby niewidzialnych, i przeświadczenie co do doniosłości niezmierniej tego przemawiania, i przedsmak holdów i zachwytów, jakie ono wywoła, i wiara w moc jego wewnętrzna przedewszystkiem, wiara, jakiej dają dowody ludzie, nie wątpiący, że litery, wskazywane przez kręcony w palcach talerzyk, muszą się układać w wyrazy zdania i okresy, zawierające w sobie jakieś myśli najwyższej wagi, jakieś prawdy nadziemskie. Przy pisaniu wierszem często dla Konopnickiej rolę takiego talerzyka odgrywa wymaganie

2 formy: z trzech tomików „Poezyi” możnaby niewątpliwie ułożyć czwarty wyłącznie z samego tylko kwiecica i nie kwiecica na ołtarzu tego właśnie Molocha złożonego.

Czy ta niezwykła pewność siebie Konopnickiej jest wrodzona i wszechwładna w jej duszy? Gdyby tak było, powinna się ona była systematycznie bawić w improwizowanie, a gdyby znów istotnie i te laury Deotymy spać jej nie dawały—musiałbym i ja coś o tém słyszeć. Do improwizowania przy ludziach potrzeba — przy łatwości wierszowania—jednej z dwóch rzeczy (jeśli nie uważać za trzecią nauczania się na pamięć przyszłej rzekomej improwizacyi): zdolności do wzruszeń, mających moc przetwarzania w maryl własnej wyobraźni lub przesłaniania zupełnie rzeczywistości, nawet w postaci ludzi występującej¹⁾, albo też bezwzględnej pewności siebie. Ta ostatnia zdaje się wznosić chwilami w niektórych utworach Konopnickiej do najwyższego szczytu, a o jej łatwości wierszowania wątpić przecież nie można. Może należy w niej widzieć, przeciwnie, nieśmiałość, nawet skromność wrodzoną, której żadne zadawane naturze gwałty doszczętnie zatracić nie mogą.

Jakkolwiekby, poetka miewa chwile najprawdziwszych natchnień, podczas których istotnie gubi z pamięci i tych, co ją na zbyt wysoki piedestał wciągnęli, i tych, do których z niego przemawia, i piedestał sam. Wtedy ani śladu w niej tego zarozumienia niezmiernego, wyrobionego może jedynie drogą hypnozy i samohypnozy, a treści jej duszy może niewłaściwego. Zresztą orzekać stanowczo w tej kwestyi trudno, zważywszy, że natura ludzka jest zawsze złąpkem sprzeczności.

Jakże inaczej mówi o sobie Konopnicka w chwilach szczerego natchnienia. Bliższa bóstwa czuje już ona wyraźnie marność i znikomość dzieł swych ludzkich, nie rości pretensyi do panowania nad światem przez słowo i do sławy nieśmiertelnej proroka. Wtenczas zdaje się ona sama sobie takim malcem, tak nie znaczącym na świecie zjawiskiem, niby jak wiatru wiew lub ćwirknięcie ptaszka; i smutno jej bez miary, że to tak jest, ale dusza jej zdobywa się na rezygnacyą ciłą i cudny jej wyraz.

„.....odejdę w jakiś kraj daleki
Stracić się we mgłę i w pomroce cienia;
Za wichrem pójdę, a za szumem rzeki,
A nie zostawię tutaj i wspomnienia,

1) Wśród pracujących twórczo, którym łatwo znikają z przed oczu stoły, stolki i ściany, nie wiele znajdzie się zdolnych do nieodczuwania, jako przeszkody, obecności człowieka i to w stosunku prostym do przypuszczalnej jego świadomości siebie i nie-siebie: rzeczywistość świadoma—to podwójna rzeczywistość.

I ślad za sobą zatracę w przestworze,
 Jak ptak, co leci na wyraj za morze.
 Tylko się za mną obejrzą te łąny,
 Gdzie czarnym chlebem szumią nasze żyta,
 I las obróci swój wzrok zadumany
 I o pątnicę smętną się zapyta...
 Tylko się za mną obejrzą kurhany,
 Gdzie gorzkie ziele żałości zakwita,
 I skowronkowe pieśni mnie zapłaczą,
 Widząc, jak cicho idę a tułacz. („Imagina“, Życie, 87).

O, nie! my, patrząc po ludzku na działalność jęj a serca pytając, musimy powiedzieć: myli się poetka! O Konopnickiej-proroku, o Konopnickiej-prawodawcy postaramy się zapewne dla jęj własnego dobra zapomnieć, ale poetka, jako pątnica smętna, kochająca i szum łąnów, i szmer lasów tych, i pieśni ptasząt naszych, i kurhany, i dusze proste i mierne, jakie tu znalazła — pozostanie nazawsze w naszej pamięci, i ślad jęj się zatraci tylko z nami razem.

Smutek głęboki, przenikający ten ustęp, to jedyny ton szczery w poezji Konopnickiej, jedyna treść szczerych jęj natchnień i utworów jęj oryginalnych, jedyne światło twórcze, w którym ukazuje się jęj inaczej niż innym, a po swojemu prawdziwie — świat, życie i wnętrze własnej duszy.

Tak, talent to zaklęty w kole jednego uczucia, ale koło to nie tak znów rozpaczliwie jest ciasne, jakby się zdawać mogło. Poetka sama jest najlepszym dowodem ile z niego najcenniejszych skarbów poezji wydobyć można. W pismach jęj znajdziemy wszystkie odcienie tego uczucia — od niepochwytnej prawie tęsknoty rozmarzonej, aż do sięgającego niemal granic rozpaczy smutku, ale za to wszelkie inne uczucia zdaje się ona odczuwać jako chaos lub dysharmonią i tak też je wyraża. Nawet myśl oderwana, nieprzybrana w barwy smutku, nie znajduje nigdy w jęj wyobraźni symbolów, zdolnych ją harmonizować i dokładnie wyrazić. Myśli, smutkiem nie opromienione, kłóć się najfatalniej w jęj słowach, a tylko smutne pomiędzy sobą się godzą.

Chcąc wypowiedzieć ściśle a obrazowo myśl swoją, rzekłbym, że poetka widzi wyraźnie, oryginalnie, jasnowidząco rzeczy, zdarzenia i ludzi, dopóki znajdują się w świetle latarni tego *par excellence* jęj uczucia; co zaś tylko z kręgu tych promieni wyciągnięte zostaje przez nienawiść lub miłość tytaniczną, przez wzgardę lub podziw dla jakiegokolwiek bądź wielkości, przez szczęście ogromne lub rozpacz — to znika dla niej w mroku nieprzejrzanym. Udowodnić sprawiedliwość takiego obrazowego przedstawienia rzeczy będzie zadaniem mego artykułu.

W niém téż tkwi niejako plan tego ostatniego: mam obejrzyć cały ów krąg i pokazać, czego jest warte to, co się za nim dookoła znajduje.

V.

Konopnicka należy do tych rzadkich utalentowanych pisarzy, którym humor bywa rzeczą obcą. W poezyach nie chodziło jój nigdy o niego, ten zaś, na jaki tak się nieraz silila ona w felietonach swoich lub nowelach, trąci w najlepszym razie goryczą, a najczęściej przesadą i niesmakiem. Zwracając uwagę na tę osobliwość talentu naszej poetki, cytowałem już gdzieindziej jedyny naówczas ustęp, nacechowany prawdziwym humorem, ale zmieszany z niemniej prawdziwą, za serce chwytającą rzewnością. Ksiądz-proboszcz, darowując szalik włóczkowy bezdomnemu nędzarzowi „Ksaweremu”, do łez tą wspaniałomyślnością wzruszonemu, tak doń przemawia: „A wiesz ty, błaznie, że święty Marcin połowę płaszcza odkroił i dał ubogiemu? Nie wiesz? Toś kiep. A ja ci powiadam, że kto ubogim daje, to Bogu pożyczka. I to ci powiadam, że większa radość w niebie... Nie, nie to. No, jak tam było, tak było, na masz. Wszyscyśmy dzieci jednego ojca, a ty mi świnie tak paś, żeby w szkodę nie lazły.”

W ostatnim zbiorku jój nowel („Na drodze”) znajdujemy jedną od początku do końca takim właśnie łzawym humorem tchnącą. „Józefowa”, druga Kaśka-karyatyda, wspaniały typ kobiety-sławianki, rosła, piękna, zdrowa i silna, stworzona na matkę i obdarzona w najwyższym stopniu instyktowném pożądaniem macierzyństwa,—ma za męża głupowatego niedołęgę, malutkiego, łysawego, potwornego, wstrętnego, niezdatnego nawet do żadnej roboty: biedna karyatyda musi go utrzymywać noszeniem wody. Ale praca dla niej niczem, „tragicznością” jój życia jest, że zamiast dużego jakiego chłopca, co w razie czego mógłby ją i sprząć, dał jój los—Głapę. Wiara niezłomna w świętość małżeństwa nie daje nawet przystępu do niej poskusom sprzeniewierzenia się lub buntu; mąż—to dla niej synonim „władcy i pana”, a tu tymczasem na dobitkę, za swego musi ona jeszcze i przed ludźmi się wstydzić. Ażeby choć trochę podnieść w ich oczach Głapę, a tém samém, jak jój się zdaje, i siebie, usiłuje go ona systematycznie wystawiać, jako obdarzonego wszystkimi zaletami męskości, wysławia jego siłę fizyczną, dochodzi nawet do udawania poważnego stanu. Niepokój jój i wzruszenie przy narodzinach dziecka u stróżostwa maluje Konopnicka z dziwną prostotą i siłą. Ta stróżowa to dla jój bohaterki pod wszystkimi względami ideał szczęścia: mąż, drab sążnisty i wąsaty, bije ją o byle

co, gdy ona sama nawet wybitą być nie może. Serdecznie możnaby się uśmieć ze wszystkich tych kontrastów pomiędzy Józefową, jej pragnieniami, marzeniami i ideałami, a Glapą — gdyby się na płacz nie zbierało. Pewnego razu rozgniewany za bryżnięcie wodą mąż-niedołęga, popehnięciem znienacka strąca karyatydę ze schodów, a konając myśli ona jeszcze o jego rehabilitacyi.

„Zawsze to, co chłop, to chłop! — rzecze z trudnością wymawiając słowa. — Chłopu niewiasta nijak nie uradzi... Tak już... Pan Jezus postanowił... A jeszcze kiej się taki trafi, co w sobie taką moc... ma...

Józefowa to jedna z tych, o których mówi inny ustęp z „Imaginy”:

„O, gdyby nie wy, proste, mierne dusze,
Com was znalazła, jak się skarb znajduje,
Cóżbym robiła w świata zawierusze,
Gdzie ten największy, co najdalej pluje.
Gdy o was myślę, to się sercem kruszę
I wielkiem ludzi kochaniem przejmuję...

O jednej z najpiękniejszej postaci z tej galeryi pisałem już dawniej, a ponieważ ani sposób otrzymywania wrażeń, ani poglądy moje na świat nie uległy zbyt wielkiej zmianie, zmuszony tu będę naśladować samego siebie. Mam na myśli „Banasiową” (z „Moich znajomych”), staruszkę białutką, co to się „ściągała” do Lwowa „na umieranie” do córki i zięcia, z którymi „zmawia się na jedno, że jej dziś a jutro — i cicho — i dobrze.” Wobec takiego „zmówienia się” pocóż wyrzucać pieniądze na „kartę pobyt”, témbardziej, że rozmaite dolegliwości, słabości i cierpienia coraz bardziej górę biorą. „Takem sobie na rozum brała — opowiada Banasiowa — że to ta niedługie rzeczy ze mną. Ale co ta grzeszny człowiek może wiedzieć? Zeszedł kwartał, zeszedł drugi — nie, precz żyję. Licho co zjem, na ziemi pod piecem się prześpię i żyję. A jakże! Aż mi dziwno. Czy też tam Pan Jezus, myślę sobie, nóżką swoją przenaajświętszą moją liczbę przestąpił, czy co?...”

„Suszenie”, „na zezimek”, „do Przemienienia Pańskiego”, „nie wymawiając Panu Jezusowi” — „trochę pomaga”. „Na trzeci tydzień — ciągnie dalej sturuszka — tom tak zesłabła, żem już stancyi zamieść nie mogła, gdzie! ani wody przełknąć. Śmierć moja, myślę ja sobie, i zara mi się lżej na sercu zrobiło. Umyłam się pięknie, ładnie, oblokłam czystą koszulę, siadłam na progu, paciorek sobie święty mówię i czekam. A tu takie białe chmurki niebem idą, a tu słońce przyświeca, a wróble świegocą, że to już niby wszystko wiosnę poczuło. Jak na to uderzyły dzwony nad miastem... Tak mówię ja sobie: wieczny odpoczynek racz mi dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mi świeci na wieki wieków. Amen.”

Ale zachwyty to przedczesny! Biédna Banasiowa „wstydząca się już przed ludźmi tego twardego życia, co w niej je” — podpada jeszcze karom za tak długo nieopłacaną kartę pobytu, na co idą wszystkie przygotowane na pochówek papierki. Córką wyrzuca starusze nieobliczenie się z czasem, sarka na kary, a więc tém samém i na długie życie matki, ale ta ostatnia nie chowa żalu za to, „bo to taki wykład, taka utrata!” „Łyżki strawy żałować to mi nie żalowali — mówi ona o dzieciach. — Pan Bóg by mnie skarał, gdybym mówiła inaczej. Co prawda, to ta człowiek nie wiele ich tém jadłem ukrzywdził. Pochlipał ta parę łyżek, co w misce ostało i już. A co? Takiej ta grochowińie, to i nie pięknie młodych objadać. Każde lata mają swój porządek. Staremu, to ta zarówno, choć przymrze głodu, bo i tak się do roboty nie porwie, a młody stanąć musi na każdy czas we swoim obowiązku.”

Co za szczytny spokój wobec śmierci, co za wzniosła zgoda na porządek tego świata, na który Bóg do pracy powołuje człowieka, to też gdy mu moc do niej odbiera, człowiek ma wiedzieć, że jest już na ziemi niepotrzebny i starać się nie zawadzać pracownikom. Wśród ludu częstém jest zjawiskiem obojętność na śmierć własną, ale Konopnicka w obojętności tej, pospolicie za zwierzęcą uważanej, potrafiła dojrzeć i wykazać pierwiastki spokoju filozoficznego. To też trudno wątpić, że istotnie „wielkiem kochaniem przejęła ona dusze proste i mierne,” kiedy zdołała tak głęboko i wyraźnie zrozumieć wielką treść tej prostoty i miernoty, w której widzi nietylko myśl i spokój, lecz i uczucie i poezją.

Te dwa ostatnie pierwiastki górują szczególnie w innej prostej duszy, w tej małej, przygarbionej, pomarszczonej, zasuszonej niemal starowince, obleczonej w oehedózne, choć rozpadające się ze starości i rozmaitego koloru łatanami upstrzone szmaty, którą poetka spotyka skuloną na kamieniu przy drodze wiodącej z Żywea do Kalwaryi („Na drodze”). Życie tej ubogiej baby, wzięte ze strony swój zewnętrznej — to pasmo nędzy, głodu i chłodu, przetykane obficie poniewierką. Ani śladu w niém tego, co my zwykle przez szczęście rozumiemy. Wspomnienia jej z najwcześniejszego dzieciństwa grożą wprost przejmują.

Na pytanie: „a toście się bez rodziców chowali?” odpowiada ona: „Abo ja się chowała? Nijak ja się nie chowała, pani moja, tylko mnie ten Bóg Stworzyciel wywiódł na świat, jak tę płonkę leśną i tak mnie ta święta ziemia zhodowała... Kiej ojciec-rodziciel pomarł — ani zapamiętania! A jak matka pomarła, to mi było pięć roków na szósty. Bez koszuli mnie, pani moja, odumarli, ino mnie w szmatki staręj płachetki obwiązywali i takech chodziła. Jak ten robak ziemią

żyje, tak my biedą żyli... Dzieci nas było „czworga”, a ten najstarszy i piąty to był brat. Ale że twardego serca był... Bić, to nas wielce nie bijał, tyła co wszystko w garści trzymał, aże piszczało. Ścisnął mróz, to matka do drew w piecu palić, a ten brat na drwach siedzi i przystępu nie daje. Tak matka do niego: Jędreku — mówi — co ty? ognia palić nie dasz?... A toć małe na nic „skargną...” A ten ino rękami się weprze we drwa, że ta daleko po nie do lasu musiał, i ledwo ta z biedą nieco chwycił, bo leśny strasznie ugłądał. — A niech zdycha—peda—szczeniaku jeden z drugim, kiej mrozu strzypać nie może. Tak matka znów do niego: Jędrus, bój się Boga, synu! A to i mnie, matco, zima! — A ten jeszcze się dubelt rozeprze na onych drwach: A to niech i matka zdycha — peda. — To, pani moja, włosy nam stawały na głowie słuchający. To matka w płacz, to my dzieci za nią takież w płacz, „a ten ino pod nos dmucha, jak ten sep...” A co było robić? Porwać się na niego nie miał kto, matka-by nie uradzili, bo całkiem ze sił zeszi, jako że ich zimno trzęsało cości bez pół roku, a nasby ta do szczytu w garści zdusił—boć to wszystko było jak owiesek drobny... To my ino z kąta patrzali na niego, a on nie. Dopiz my się wyplakali, wyplakali, dopiz my jedno na drugie głowy pouklądali, jako te jagniaci, dopiz nas matka rękami nakryła, dopiz my się pośpili. To drugi raz odecknę ja, pani moja, pojrzę, a ten brat precz na onych drwach siedzi, a głową trzesie, a patrzy na nas, jak ten wilk leśny, że to pochmurowaty był na wejrzaniu... Nie było ta i na nim wielkich rozkoszy. Koszulisko porwane, nożyska bosc, kożuszątko nie uznał, z buźniczka łachman tylko... Tom nieraz, pani moja, widziała jak mu z tych oczu łzy ciekły. „Łzy” takie, że to jak ten krupny grad... Ino się trząsł cały...” „Matus niezego tak nie „lutowali” przy skonaniu, jako tego że mnie bez koszuli ostawiają — opowiada dalej staruszka. — To ich taka żalosc przede śmiercią ścisła, że tój duszycki nijak ze siebie puścić nie mogli. Już i na prostą słomę kładli, i dziewięciornikiem kadzili — nie! Dopiz im się kuma zabożyła, że jak tyłuśko skonają, zara z nich płachtę ściagnie i mnie koszulinę zrządzi, dopiz to sobie do serca wzięli, dopiz — kończy ze świetlistym błogim uśmiechem—dopiz „ciutko” (cichutko) skonali.”

Po śmierci matki ludzie porozbierali drobiazg do pasenia, a ją najmniejszą, pojęła do się „ujna”. „Ujna”, jak „ujna” zwyczajnie, to pchła, to szturchła, jak to nie trza powiadać o sierockim dziecku. Ale że jeść to dała. Choć ta pozliwki jakie, to dała. Drugi raz to i kotu ujęła, żeli nie dostawało, a również pamięć miała, że to sierocie głód. I wszystko się obeszło. Tyła co one chłopaczyska („ujny”) strasznie nademną panowały. Nie przeszedł jeden, żeby włosów nie

targnął, nie szczypnął, pod ziobro kułakiem nie zajechał," szczególnie dostawało się sierocie, kiedy próbowała podglądać, jak się „chłopaczyska” na książce uczyły. Ciało sieroty „od siniaków się bestrzyło; aże graniate było,” ale wszystkie „cudowania” okazały się na nic, bo sam „janiół ją zucił.” Dostawszy od jednej dziewczuszki niedoszczętnie jeszcze targaną „groszówkę” zaszyła ją ona „od spodku” w jedyny swój strój, w koszulę „chłopczyńską,” niebardzo jeszcze porwaną, co jój „ujna,” „niech jój ta Bóg da niebo! ze swego Staszka dała,” a pasąc krowy w polu szukała na groszówce tój „luter,” które u chłopców „spatrzyła,” i „przykladała jedno do drugiego tak i tak, aże się złożyło...” Nic, ino „janiół tak przez wszystko dopowiadał,” orzeźwiając zrozpaczoną już nieraz sierotkę to wiatru podmuchem, to świergotem ptasząt i budząc ją w nocie księżycowe do „groszówki...” Pełne wyrozumiałości i przebaczenia serce sieroty nie zachowało cienia żalu do „ujny” za brak opieki i miłości, została w niem tylko dla niej wdzięczność za ową koszulinę „chłopczyńską” co do kolan nie posięgła” i za to przedewszystkiē, że na „pozliwkach” tój ujni biedna sierotka „nauki dostała.” Tę umiejętność czytania staruszka ma za najwyższy dar, dar Boży, ponieważ „człowiek do człowieka różne mowy miēwa, podczas mądre, podczas głupie, a podczas to i grzeszne i „lekkomyślące,” a książka jak mowę do człowieka ma, to zawsze ino o tym Ojcu Stworzycielu, o tym Chryste Odkupicielu, o tym Duchu Świętym...” Tulać się po służbach—to dalszy ciąg biografii, której koniec zapewne w chodzeniu o proszonym chlebie. Co za pustka i nędza istnienia! Tylko cierpienia dla zmysłów, tylko upokorzenia dla miłości własnej.

A jednak żadne życie żadnego magnata nie może być bogatsze we wrażenia i wzruszenia rozkoszne, które czerpie uboga babka z dwóch niewyczerpanych źródeł: natury i wiary. Cóż ztąd, że nie ma nikogo na świecie, co by jój dobre słowo powiedział, ktoby jój był rad prawdziwie, ktoby chciał przyjąć jój z pociechą w chwili nieszczęścia? Ma ona przecież „tego Pana Jezusa i Matkę Przenajświętszą” których „ni by dobrych znajomych” odwiedza od czasu do czasu utęskniona, a który, choć nie marnie-ziemskimi potentatami są, ukojenia i orzeźwienia jój ubogiej, nie skąpią nigdy. Wiē ona ze swojej „ewangeliczki,” że darmo „ludzie sobie tutaj różne honory dodają,” bo „Bóg insze registry trzyma” i „czasem i żebraka na niebieskie pokoje wpuścić może.” Zresztą, nie ma dla niej samotności, bo ni by dla przodków naszych przedhistorycznych, cała przyroda dla niej, nie na papierze ale na prawdę z nią obcującej, — żyje. Dla niej ta przyroda — to nie martwa materya, targana bezrozumnymi siłami, to zbiór istot żywych, samemu

tylko Bogu podległych. W powiewie rzeźwiącym wietrzyka słyszy ona szept anielski; zawieja dla niej, to duch jakiś złowrogi, mocny „zgaścić” nawet „duszyckę” niejedną do Boga dążącą; do słońca wyciąga ona ręce z zachwytem radości, niby do matki ukochanej; nakoniec „ziemia święta,” z której prochu ona powstała, która ją „zbudowała,” która ją kiedyś w łonie swoim utuli, — nie opuszcza jej nigdy. Ubo-ga ta starowina jest poetą w najdoskonalszym znaczeniu tego wyrazu, poetą o pamięci pełnej najeudniejszych lub strasznych a żywych podań i wspomnień, o wyobraźni nieustannie pracującej. Ale nietylko poetą, jest ona i myślicielem. Zna ona prawdy oryginalne, w jej umyśle zrodzone, przez nią sprawdzone, którym gdyby nawet nie wiem kto zaprzeczał, — „tak chfałsz!” Tak np. nocując „zamroczona” na mogiłce „morowych,” co podczas głodu po drogach padali, na mogiłce usypanej pod figurą w zmiatonym przez wiatr suchym piasku, ujrzała ona nad ranem „wystarczającą jej kole boku nóżkę dziecińską” dalej rozwiewające się włosy i fartuch jakiś; przygoda ta odkryła jej prawdę ogromnej według niej wagi, że „ten umarty nijak się temu żywemu nie przeciwi,” a sam Spinoza ze swoim „światłem, co samo siebie dowodzi i sprawdzaniem jest ciemności” nie zdobyłby się na nadanie większej wiary i większej doniosłości jakimukolwiek wynalezionemu przez siebie pewnikowi.

Cheć dać dokładne pojęcie o wartości artystycznej, piękności, prostocie i harmonijności takich nowel-poematów jak „Banasiowa” lub „U źródła,” trzeba by je całe przepisać. Trudno mi iednak nie zatrzymać się jeszcze przez chwilę na tych pełnych poezji i wiary podaniach ludowych, któremi owa mała starowinka przesypuje wspomnienia ze swego życia. Naturalnie podania te — to dla niej wcale nie bajki, lecz prawdy bezwzględne, godne służyć za pobudki życiowe, część, że tak powiem życia rzeczywistego stanowiące.

„Dobrze iść na Zielną, dobrze i na Siewną i na Gromniczną téż dobrze, kić kto ciepłe obleczenie ma; ale że już najlepiej to na „Janielską?” A wiecież pani bez co? Bez to, co na ten dzień wszystkie „janioly” od wszelakiej roboty odpuszczone są, i jak oni gołębiowie po niebie latają, a wołają: „Marya! Marya!” Niby za tym narodem ubogim... bez co ludzie rzekają w litanii „królowa Janielska...” To takie się miłostliwe „serce” robi z tego wołania u Najświętszej Panienki, że człek wszystko u niej tego dnia, co zechce uprosi. Ano, nie godzi się prosić o co insze, jeno o odpust grzechów, bośma wszyscy grzeszni, i o chleb, bo sam Pan Jezus na to pozwolenstwo dał. A o inne rzeczy to się nie godzi, chyba, że kto prosi o „wieczne odpocznienie” dla ojców-rodzicieli, to wolno na każdy czas, jako, że te kości umarłe na

każdy czas same do Boga krzyczą... A na ziemi, to pani moja w Janielską żaden grzesznik nagłą śmiercią ze świata nie schodzi... sporysz i rdest mocy nad kłosem nie ma... W lasach drzewo skrzypiące cicho stoi, na morzu okręty do dna nie idą, a kogo żmij ugryzł, nie puchnie, i jastrząb w ten dzień skowronka nie chwyta, i macocha sierot nie bije. Taki dzień jest!

To mogłyby się, pani moja, wielkie rzeczy na świecie w Janielską dziać, i ludzieby po wodach chodzili... wszelki jasyrby padł, i ziemiby w dwoje tyła przybyło, ino, że nie każdy wie, co i jak..."

"Proste, mierne dusze!" Dusze, dla których istnieje świat marzenia, świat nadziei, świat wiary, rzeczywistszy niż świat żądź nędżnych i marnych zabiegów; dusze, naprawdę nad ciałami panujące; dusze, pełne miłości i wyrozumiałości, nie od nikogo nie żądające, za wszystko wdzięczne, zawsze gotowe się wyrzec dóbr ziemskich dla pobudek nadziemskich, na nikogo — ani na Boga, ani na ludzi — cierpień swoich nie zwalające! Ileż was ciśnie się tu do mojej pamięci w świetle smutku serdecznego téj, co was tak ukochała i pojęła!

Widzę i tę zgrzybiałą matkę, która wydawszy ostatni grosz na pochówek przyzwoity syna-posłańca, tłómaczy odpoczywającemu już nareszcie w trumnie „po wszystkich kursach z listem lub posyłką,” że wola jego została spełniona, że wspólny dół go nie czeka...¹⁾ Widzę i głupowatego „Ksawerego,” uciekającego od dostatku i wygod do nędzy i poniewierki, byleby oszczędzić przykrości matce swéj, obywatelce, która go na świat wydała, będąc na nieszczęście już wdową... Widzę i grono pogrzebowe, ciągnące przez „dolinę Skawy” z pieśnią cudnie wzniosłą o marności wszystkich rzeczy ziemskich; rozróżniam i tego „przeddziada,” co rozpoczyna z siłą każdy nowy kuplet, tonąc w ciemnej zieleni gałęzi ściwkowych, obok białej trumny prawnuka, czarnym krzyżem ze smoły naznaczonéj, — i tę matkę o rwącym się w pieśni głosie, chwytającą się ręką spracowaną półdrabką... Widzę i matkę Marcysia-kotłowego, głodną, ale wstrzymującą się od jedzenia i z rozkoszą patrzącą na apetyt syna...²⁾ Widzę i Filipa Mostowiaka z synami, którym nigdy sarknięcie żadne nie wyrwało się na długą chorobę żony i matki, skazującą na wyzucie się ze wszelkiego dobytku i nędzę rodziny całej...³⁾ Widzę i Hankę Blacharżównę, służącą, co złodziejstwo kochanka, wydać go nie chcąc, więzieniem i „pobytem” przypłaca; — co woli, umierając z głodu, nad siły, za kilkanaście groszy dziennie pracować, woli narazić się na wszystkie prześladowania,

1) „Martwa natura.” 2) „Dym.” 3) „Nasza szkapa.”

jakie tylko tai w sobie litera prawa, kiedy ktoś chce i może na złe dla kogoś je tłómaczyć, — aniżeli kawałek chleba, wygody, pobłażliwość kupować za cenę wstydu...¹⁾.

Czas jednak powrócić do trzeźwój analizy.

VI.

Dziwném się wydać może, iż mówiąc o poetce, tak długo milczeniem pomijam tomy jój „Poezyi.” Cóż począć! Chciałem mówić na początku o najpiękniejszych jój poematach a te w prozie znalazłem. Konopnicka doskonałym jest według mnie argumentem przeciw zdaniu Woltera, tego skończonego, a mniej utalentowanego pseudo-kłasyka w dziedzinie poezyi, — jakoby nałamywanie się do rymów i dociąganie do miary miało wydobywać z poety moc zwrotów poetycznych, porównań, przenośni figuralnych i t. d. Że wydobywa, to wydobywa, tylko nie „poetycznego:” mówiłem już o krzywdzie, jaką wyrządza Konopnickiej to łamanie się, przy nadzwyczajnej łatwości z niemniejszą eoprawda niedbałością dokonywane. Może i ta okoliczność oddziaływa potrosze na to, że samo już tylko przemawianie w mowie wiązanej warzy najczęściiej w poetce wszelkie szczere uczucie, wszelkie prawdziwe własne rozumienie rzeczy, zmuszając ją do stawiania tego, co jest istotnie w jój duszy, na szczydła przesady w celu, zapewne, imponowania sobie i innym.

Tak tłómaczę, dlaczego cały pierwszy tomik jój wierszy zawiera w sobie oprócz kilku ułamekóv ze słabych w całości swój utworów, załedwo dwa wierszyki, o których wartości estetycznej możnaby mówić. O pierwszym z nich pisał właśnie Sienkiewicz z Ameryki, drugim zaś jest ów, tak często deklamowany na zebraniach towarzyskich:

Szczęścia! szczęścia! choćby chwilę
Przelotną wśród burz,
Co skrzydełka ma motyle
Znika z blaskiem zórz,
Choćby tyle, ile rosy
W polnym kwiecie drży!
Wiosno! ziemio! Wy niebiosy,
Szczęścia dajecie mi!

Głos tęsknoty echo budzi
W drżących listkach drzew...
Cicho!... Ciszej!.. niech snu ludzi
Nie zakłóca. śpiew...
Mgła się wije po lazurze...
Ja na fletni gram...
Białe róże, senne róże,
Dobrej nocy wam!

I tu czujemy naturalnie ten pierwiastek smutku, występującego w postaci tęsknoty eterycznej, do której odmalowania trzeba barw

¹⁾ „Pod prawem.”

z „mgły.” z „cieniów trawek wiotkich,” ze srebrnych blasków” jeziora, u miesięczka zapożyczonych, z wyblechowanych przez zbliżający się świt lazurów, z białości róż drzemiących i t. d.

Pozwolę sobie jeszcze zwrócić uwagę czytelnika na drugą połowę „Wstępu,” bo w pierwszej widzę jedynie pretensją do znawstwa ducha, literatury i życia greckiego. Ustęp, o którym mówię, wspaniale kreśli sprzeczność w jakiej stoją postulaty skrajnego pozytywizmu z przyrodą samą.

Poeeci wygnani. „Poezya... która najpiękniejsza nawet jeszcze prawdą nie jest... umysłów wytrzeźwionych oczadzać nie będzie... Pierzchyły już bezielesne, urojone maryl, których nikt nie przykroi do rozsądnej miary... Odtąd mieszkańcy miasta... o tém, co rzeczywiste, radzić będą zimnie... Epos przestanie kłamać i drażnić umysły; na wzruszenia jest wymiar ogólny i ścisły... I nikt pod wpływem pieśni, omaniony słuchem, nie będzie śnił, że leci nad światy gdzieś duchem... Ludzkość... przestanie pragnąć zdrojów żywych i ogrodów, nie będzie roila o cudach dziwacznie, a na byt swój powszedni trzeźwo baczyć zacznie...”

„Tak dumał prawodawca” — filozof, ale zadowolenie jego okazuje się wnet przedczesném: jakieś pacholę, wpatrzone w błękit niebios i mgliste zarysy gór dalekich, wsluchane w szmery drzew, śpiew ptaków i echa pieśni Homera, budzącej w wyobraźni cienie ojców bohaterów, — woła w ekstazie: „lutni!”

„Jakto? wieley bogowie! — czyż znowu poeta!?” Wyznam, że taka ekspozycya kwestyi, warta jest w moich oczach dobrego rozdziału w niezłym traktacie. Widzimy tu jeden z wyraźnych dowodów, że Konopnicka jest naprawdę poetą, bo trzeba nim być, ażeby tak głęboko i jasno zrozumieć i wytłómaczyć tę potrzebę bezwzględną poezyi, tę jej konieczność, tkwiącą, że tak powiem, potencyalnie zarówno w samej przyrodzie, jak i w duszy ludzkiej.

Drugi tomik „Poezyi” szpecię zaczyna coraz bardziej „*weltschmerz*” płytki a tendencyjny jakoby, z którego na oczach niemal czytelnika wylaniają się zachcianki prorockie. Zaledwo parę kawałków istotnie pięknych mógłbym w książce téj nazwać. Zachwyca mnie tu „Fragment I” głębokością myśli, wyrazistością bez skazy obrazu, niezwykłym u Konopnickiej wykończeniem a przedewszystkiém szczerością uczucia, brzmiącego w kończącym rzecz pytaniu: „Cobyś zrobiła... o Psyche!...” gdybyś się była przekonała, że ten twój kochanek, „że to piękne i młodzieńcze ciało — tylko człowiek,” a nie bóg?

Daléj serce tu poruszy to ten to ów urywek z melodyi „na fujarce,” choćby np. melodya pierwsza, lub taki ustęp z drugiej, malujący

sprzeczność pomiędzy nieokreślonym rwaniem się gdzieś w dal nieskończoną marzeń duszy młodzieńczej, a twardą rzeczywistością. Fujarka pasącego konie w noc miesięczną parobczaka tak śpiewa poetce:

...Cości mnie woła,
Cości z piersi zabiéra mi duszę...
Żebym jeno chciał —
Pół światabym miał,
Tylko tyle, że konie paść muszę.

Śliczne jest też granie innego parobczaka, któremu spokoju nie dają sny o wojence.

Prawdziwie pięknym jest i wzruszającym urywek pierwszy z cyklu „Łzy i pieśni.” Szczerością też i prawdą technie urywek trzeci z cyklu „Zdaleka,” zaczynający się od wyrazów:

„Nieraz pytam się w duszy: czy ja kocham ludzi?
I długo się namyślam i nie śmiem wznieść powiek.”

Tomik III „Poezyi” wielce znamiennej posiada fizygnomię. Używając terminu ewolucyjnego, dla określenia postępu, rzekłbym, że nosi on wyraźne ślady różniczkowania i integrowania się skłonności i zdolności poetyckich Konopnickiej, co należy przypisać albo uświadomieniu się pewnemu dojrzewającego talentu, lub też jakimś nieświadomemu wpływowi „janiola,” sprawiającego zarazem, iż poetka zupełnie już niemal daje pokój przesadnemu swemu *weltschmerz*’owi, wcale prawie nie deklamuje o „męczarniach ducha, pożeranego przez zagadki wszechbytu” i o oktawę zniża ton prorocki. Wspomniane wyżej zróżniczkowanie się talentu poetki widzę: *primo* w tém, że strona jego naśladowcza ujawnia się tu otwarciem: nie licząc utworów okolicznościowych, pół książki zajmują przekłady i transkrypcje, *secundo* w uoryginalnieniu się zupełnie już własnej strony tego talentu. Nie mówiąc o zanotowanym już tu dawniej spotężnieniu środków poetyckich autorki w toku lat pięciu dzielących tom III-ci od II-go, dostrzegam w pierwszym początek procesu, który nazwałbym wyłanianiem się stylu indywidualnego z obsłonek maniery, naśladownictwa i frazesów bez znaczenia. Zarzucanie stopniowej zabawy, polegającej na kręceniu wrzeczona formy, kiedy na niem już przedzy myśli nie ma, zawdzięcza Konopnicka, jak mi się zdaje, właśnie przekładowi, ponieważ piszącemu „oryginalnie” może się czasem zdawać, że wolno mu mówić co się podoba, bo kto dowiedzie, że tego albo owego nie czuł on albo nie myślał, a tłómacząc, chociażby nawet najdowolniej, trudno już tak bez kontroli sypać wyrazy z rogu obfitości: rzeczywiste myśli i uczucia autora nie dają się tak łatwo naginać do wyrazów, trzeba więc te ostatnie do tych pierw-

T. I. Z. II. 1894. 22

szych zastosowywać, przyzwyczajenie zaś dobiierania wyrazów zupełnie odpowiednich do myśli cudzych, czyniąc to rzeczą stosunkowo łatwą, musi się przydać i tam, gdzie już o własne myśli będzie chodziło. W każdym razie uderza tu już czasem taka siła i jędrność słowa, jakichby się spodziwać nie można było, czytając tylko poezye poprzednie, a nawet i prozę Konopnickiej. Weźmy naprzykład taki czterowiersz z transkrypcyi psalmu 136 „*In exitu Israel*” „*Nabi*” kończy:

Więc ja mam głos! Pobitych krzyk jest we mnie,
I łuny miast, i winnic spustoszenie,
I miecza ostrz przenika mnie tajemnie,
I cisną mnie zelżywych pęt rzemienie.

Albo niektóre ustępy z „Rocznicy Termopilów.”

...A podniósłszy głowę
Wstał Tymon i odłożył księgi sławy stare,
I szedł cześć czyny ojców swych Heraklesowe,
I ofiarować bogom dziękczynną ofiarę.
I zdjął z ramion zszarżane niewoli swęj szaty
I rozdmuchał pochodnię gorącym ust tchnieniem,
I niósł w ręku kwiatowe wieńce i obiady.
A serce mu urosło ogromném wspomnieniem,
Bo mówił: „Otom syn jest — a to ojce moje,
I z krwi téj idę, która bojowała boje,
A dziś, w obliczu Romy, przypominę to bogom...”

Ale przyszedłszy — widzi tylko ruinę świątyni, a dalej, w sercu jej, z poddbijanemi rękami

Biała Atene, wielkich praojców bogini
Strącona z narodowych najczystszych ołtarzy
Leżała w brudnych pyłach...
A tak w tém spustoszeniu stojąc z gorzkim płaczem
Puścił z rąk załamanych pochodnie i kwiaty,
Bo nie miał ofiarować komu ani na czem...
A wspomniawszy, iż bogi nie mają mściciela,
Usiadł i zakrył oczy połą swojej szaty,
I w boleści nad hańbą przeżył dzień wesela...

Zapomnijmy o historycznej wartości zawartych tu szczegółów, zarówno jak i o tém, że Ateńczyk prędjéjby rocznicę Maratonu lub Salamin obchodził, zwróćmy zaś uwagę na to, że tu Konopnicka zdobywa się na wspaniały wyraz uczucia, naprawdę już kawał świata obejmującego.

Wspomnieć jeszcze muszę o zanotowaném już także pięć lat temu w „Ateneum” zintegrowaniu się, zlanie w jedno niemal poglądów Konopnickiej na naszą współczesność, z kąd wypłynęła pewna jedność i har-

monijność kierunku. Uważam to za rys dodatni w rozwoju talentu Konopnickiej niezależnie od wartości wewnętrzno-artystycznej składających się na wytworzenie tego kierunku utworów, a to dlatego, że o śliwce barwą dojrzałości pokrywającej się napewno można powiedzieć, że jeśli robaczywa, prędko opadnie i drzewo oczyści, jeśli zaś zdrowa — pożytek przyniesie. Z zastrzeżenia się tego widać, iż mam heretyckie trochę poglądy na to, co sama pewno Konopnicka zarówno jak jej wielbiciele i nie wielbiciele — za główną stronę działalności jej literackiej poczytują. O téj jednak herezyi swojej tak się szeroko rozwiódłem w inném miejscu, że tu będę mógł kropkę postawić.

Wracając do trzeciego tomiku wskażę w nim jeden skończenie piękny w okropnej swój goryczy „Fragment” II-gi z kolei, który taką tebnie szczerością, że pomimo, iż mógłby być śmiało za naśladownictwo poczytany, pozwolę sobie go nazwać pewnym w poetce błyskiem świadomości stron ujemnych swego talentu, chociaż widocznie idąc wśląd za innymi, znaczenie ogólnoludzkie nadać mu chciano.

„W starości swojej ziemia mnie wydała
 Jak późną parość dąb próchnem stoczony,
 Brakło już gliny dziewiczej na ciała,
 A dech żywota — wytechniony...
 ...Na całej ziemi i na całym niebie
 Nie ma, czegoby choć myślą nie tknięto...
 ...Drogi ku szczytom i w przepaście drogi,
 Tragicznym śladem zarówno zdeptane.
 Gdzież spoczne? Kędyż miejsce dla mej nogi?...
 ...Od własnych myśli i uczuć, i woli
 Odwracam głowę z boleścią i wstrętem...”

Jak nie czujemy swego młodego zdrowia, pożądając zaszczytów lub mądrości, właściwej późniejszemu wiekowi, tak Konopnicka nie czuje tego stopnia oryginalności, jaki jest nieodłącznym od niej samą. Trawi ją żądza, tylekroć z mniejszym nieskończenie talentem wykazywana, jakiejś oryginalności potężno-ideowej, prawodawczo-prorockiej. Wiersz przytoczony — jest wydanym przez nią samą sobie okrutnym a sprawiedliwym świadectwem. Wiersz ten — to chwila, w której poetka z tragiczną niemal „boleścią i wstrętem” dostrzega — nie samoanalitycznie, lecz jasnowidząco — że brak jej moey wskazywania ludzkości nowych dróg, bo dla własnej nogi nie jest ona w stanie żadnego, niezdeptanego miejsca znaleźć.

Nie mam możności mówić o reszcie „Fragmentów” zbyt obszernie, nie chcąc się więc do pewnego stopnia powtarzać, powiem, że nie znajduję w większej ich części nic, oprócz pięknych myśli z Pisma

Świętego, z Krasińskiego i Mickiewicza, użytych jako okrasa dla własnych zdań autorki, zdań bez żadnej treści rzeczywistej. Nieustanne sprzeczności logiczne i brak prawdziwie artystycznej wartości, zmuszają mnie do stanowczego odmówienia większości „Fragmentów” jakiegokolwiek znaczenia dodatniego. Poetka raz rozkazuje „duchom uderzyć do zwartych bram,” niewiedomo jakich, lub „wyrzucić się jak płomień, z ogromną siłą,” a o kartkę przedtém lub potém tonem proroczym oznajmia, „że kiedy usta milczeniem są zawarte... dzieje... piszą wielką kartkę, kwiatów jutra pękają kielichy...” Te ostatnie wyrazy są zakończeniem ślicznego, wspaniałego niemal początku, któremu poetka kłam zadaje połową swój działalności literackiej.

Poco śpiewać? Poco targać smutnie
Struny, które ozwać się nie mogą?
Idź poeto! strzaskaj swoją lutnię!
Porzuć szczęty nad rozstajną drogą...
Niech ptak polny śpiewa na tój ziemi.
Niechaj wichry zawodzą tu w nocy...
...Niech odmienne wśród życia biesiady
Dla wesela swoją lirę stroją
Jak z wyrwaném żądłem liche gady,
Co się w tańcu za piszczałką roją...
Ich to święto! Piersiami pełnemi
Niech okrzykną toast znikczemnienia,
Wy odejdźcie o pieśniarze ziemi,
Pełni ogniów wzgardy...

Prawdziwie téż pięknym jest, cytowany już w „Ateneum” w roku 1888, Fragment VIII. Sam już początek jego uderza swą prostotą, szczerą i prawdą:

O wiem! My słońca nie zdejmimy z nieba...
Nie rozmnożymy, jako Chrystus chleba...
O wiem! Nie wszystko jest tu w ludzkiej mocy,
A najmniej w naszej...

Daléj następujących rad nie sędzę, ani z punktu widzenia ich praktycznej wykonalności, ani ścisłej logiki, dość mi, że są one jednością harmonijnie piękną w swój szlachetnej obrazowości.

Fragment XIII byłby pięknym w swój prawdzie ogólnoludzkiej, nie nowój może, w myśl owego „*nil novi sub sole*,” ale szczerze odczuć, — gdyby go nie szpeciły ofiary na ołtarzu formy. W każdym razie niektóre ustępy jego uderzają swą mocą.

I choćbyście wyszli w pole
Z piorunem na czole,

Choćby z stali były męże
 A z gromów oręż,
 — Pójdą w jeństwo wasze rotę,
 Popod cudze płoty,
 Wasze boje będą klęską,
 Wasza śmierć nie mężką —
 — Bez miłości, bez zapалу,
 Bez czci ideału.

Znalazłoby się jeszcze nie mało pięknych miejsc w III-im tomiku „Poezyi,” ale nie dałyby nam one podstaw do nowych spostrzeżeń.

VII.

Proces dojrzewania stopniowego talentu Konopnickiej jeszcze widoczniejszym jest w jej prozie, może dlatego, że dalszego kresu sięga. Nie będziemy się zatrzymywać na „Wrażeniach z podróży,” które odznaczają się ogromną przesadą w malowaniu w gruncie rzeczy szczyrych nawet tęsknot, smutków i smętków, o tyle tylko z podróżą związek mających, o ile podczas podróży nie jest się u siebie. Prawdziwy przegląd porównawczy prozy Konopnickiej zacząć należy od „Czterech nowel” (1888), z których jedna tylko, („Pod prawem”¹⁾ cała opromieniona szczerem natchnieniem czyli smutkiem, rozmaitej barwy i siły, jest rzeczą prawdziwej wartości. Poetka tu czuje i maluje, a czytelnikowi same przez się cisną się do głowy tysiące myśli, w obrazach utanych, a nie wydeklowanych przesadnie...

Za to pozostałe trzy nowele bardzo są słabe „Michał Duniak” — to stek przesadnych tragiczności i nieprawdopodobieństw psychologicznych i społecznych, wśród których tai się zachcianka rozwiązania kwestyi żydowskiej. — „Ultimus” bajka o cyganach i koniokradach, aż do złudzenia przypominająca chwilami „Chatę za wsią,” — „Wojciech Zapala”, odznaczony nawet na jakimś konkursie, — to weteran napoleoński, typ zużyty już w tylu pięknych utworach wielkich nawet mistrzów. Ubóstwienie dla małego kaprała, wspomnienia z bitew—oto treść zwykła tego typu. Otóż oddanie niezmiernego tego ubóstwienia dla tej wielkości niezmierniej, wymaga w samym autorze poczucia wielkości i miary w niej (którą ostatecznie może być i nieskończoność),

1) Historia wspomnianej wyżej Hanki Blacharzówny.

a tego poczucia Konopnickiej brak najzupełniej. Nie brak tu rzetelnego nastroju, ale tego za mało. Wspomnienia Zapasy, mające zobrazować właśnie postać cesarza, o ile nie są powtórzeniem cudzych, ubawić czasem mogą. Weźmy np. taki obraz:

„W dymie harmatnym, w ogniu jarzącym, w trzaskawicy śmiertelnej, kiedy człowiek nie ma czasu wezwać Boga przy skonaniu... mazury prą się na baterię...” „Na górze stoi cesarz... wkoło sztab się kręci, cały w złocie, a w piórach, a w szeleściach. Aż tu mi pan mój powiada: Wojtek, powiada, to Napolijon.”

Drugi o dwa lata późniejszy zbiorek („Moi znajomi”) wielkim już jest postępem. Znajdujemy tu „Banasiową”, o której jużśmy mówili, „Ksawerego”, „Martwą naturę”, któreśmy wspominali. W nowelach tych poraz pierwszy u Konopnickiej spotykamy się z typami najzupełniej oryginalnymi. O dziewczętach cierpiących za kochanków swoich, o więzieniach, więźniach i etapach czytaliśmy wielokrotnie, ale taka Banasiowa?... Zanotować tu należy jeszcze jeden rys oryginalny: wykazanie praktyczne całego bogactwa jedności, piękności języka prawdziwie ludowego. Obok jednak tych stron dodatnich, znajdujemy w tym tomiku moc ujemnych. Mamy tu „Morze”, które, jak tego na kilkudziesięciu stronicach dowieść usiłuje Konopnicka, lepiej stworzył Pan Bóg, niż Kaputkiewicz, dekorator teatrzyku jakiegoś prowincjonalnego; mamy i siłą się na humor „Cioteczkę”...

Ostatni zbiorek nowel („Na drodze”) niemniej jest wyższy od drugiego, jak ten od pierwszego: prostota i naturalność coraz bardziej przewagę tu bierze. Jedyną w tym zbiorze nowelą, której możnaby zarzucić dawną deklamacyjność i przesadę, dawne silenie się na oryginalność nadzwyczajną, wyglądającą wreszcie na coś w rodzaju paradoksalności, — jest „Głupi Franek”. Człowiek to natury w całym znaczeniu tego wyrazu, ale Konopnicka każe mu tę nierozłączną z nim nigdy przyrodę odczuwać nieustannie, wbrew prawom psychologii, z nadnaturalnym wprost zachwytem. Pewne nieprawdopodobieństwo widzę też w obrazku „Na werendzie”, odmalowanym jednak, przyznać trzeba, bardzo udatnie. Wstrzymać się też muszę od sądu o „Na rynku”, ponieważ tu chodzi głównie o waryatkę, a ja się na psychiatrii nie znam. Trudno też mówić, jako o czemś zupełnie do Konopnickiej należącym, o nowelach takich jak „Mendel Gdański” lub „Jakton”. Piękne to typy, ale u Orzeszkowej zapożyczone, gwoździ humanitarnej tendencji właściwej zarazem i tej ostatniej, tendencji dającej się streścić w wyrazach: nie gardź żydem, nie chowaj dlań nienawiści, nie od-

strychaj się od niego, nie odstręczaj go od siebie,—do czego Konopnicka chwilami zdaje się dodawać: nie odróżniaj go od siebie. W każdym jednak razie uderzyło mnie w tych nowelach, że autorka ani na chwilę nie pozwala w nich sobie na żadne deklamacje prorocko-prawdawe, poprzestając na samém obrazowaniu.

Bohaterowie reszty nowel, w książce téj zawartych, to są znane już nam dusze proste, odtwarzane niewątpliwie, przynajmniej w głównej ich treści, z natury, tylko we właściwy poecie sposób widzianej.

VIII.

Punktem najwyższym, jakiego dosięgła poetka w mowie bogów jest według mnie „Imagina” (której trzy pierwsze pieśni znajdujemy w „Kraju” i „Życiu”), ale nie jako całość, lecz jedynie jako zbiór ustępów, odznaczających się często niezwykłą siłą i przezroczystością słowa, i głębokością a oryginalnością uczucia i myśli. W „Imaginie” dużo mamy dowodów, że Konopnicka umie ten pierwiastek twórczy swych natchnień — uczucie smutku — nietylko wcielać w postaci ludzkie lub obrazy natury, lecz i wdychawiać, że tak powiem, nawet idee oderwane, które inaczej w pismach jój płaczą się bezładnie i sprzecznie, lub o ile nie są cudze, rażą swą dziwacznością.

Weźmy na przykład następującą myśl:

Nie wierz, kto mówi, że nie mógłby wyżyć
Bez téj, którą już posiadał szczęścia miary.
O, serce ludzkie umie lot swój zniżyć,
Kto pragnie, pije z najuboższej czary,
A gdy głodnemu okruchy przybliżyć,
Za wielkie ma je i królewskie dary,
A komu dola jak śnieg w rękę taje,
Kroplą się mętów cieszy, co zostaje.

Kompromis z losem... o, stara to droga,
Prawie tak stara, jak sam ród człowieczy.
Nie skołał Adam u rajskiego proga,
Lecz pługi ciesze i ręce kaleczy.
Na dumną rozpacz ludzkość zauboga.
Wzięto nam tyle i tak drogich rzeczy,
O których każdy mówił: nie przeżyjem!
Przecież się rodzim, jemy, nawet tyjem.

A jednak, jednak i tu są granice,
 I jeśli człowiek ma wytrzymać życie,
 Jak most lecącą do szturmów konnicę, —
 Kruszyńę szczęścia mieć musi, choć skrycie,
 Jako śmiertelnych grzechów tajemnicę,
 Musi nią karmić serca swego bicia,
 Musi choć jeden promyk ideału
 Wynieść z rozbicia, lub zginąć wśród szafu.

Uderza tu głębokość i matematyczna niemal dokładność zrozumienia téj wielkiej prawdy psychologicznej, której powierzchwni zaledwo i to w jéj punkcie najmateryalniejszym, dotyka Szekspir, każąc powiedzieć Learowi do Regany: „o, nie mów o potrzebie! Najnędzniejszy żebrak zna zbytek: dajmy człowiekowi tylko to, czego natura (jego fizyczna) wymaga, a życie jego warte będzie tyle, co życie bydłęcia!” Prawo to w duszy poetki kojarzy się naturalnie z tysiącem myśli i obrazów bolesnych — i oto wszystko smutek niezmierny przenika.

Albo taki ustęp:

Było, — więc dosyć, więc dalej, więc z drogi!
 Sto słońc, sto światów drży w łonie przyrody:
 Chcą być, chcą kochać, chcą nowe mieć bogi
 I z nowych kwiatów życia brać swe miody.
 Gwiazdy zsypane na błękitach w stogi,
 Pieśni uspione w lirach, białe trzody
 Fal w mgłach zakłète, co chcą iść na paszę,
 Nienarodzone ludy, jajko ptasze, —

Wszystko prze, woła ciśnie się i kłębi
 Przez progi życia, jak wrzątek kipiące,
 A nim się w formy stęgnie i oziębi,
 Już nowe nowym światom wschodzi słońce.
 Wieki i chwile, jak stado gołębi
 Spłoszonych lecą skrzydłami bijące...
 I zapadają w zmierzchy bez świtania
 Wszystkie tve bóle i wszystkie kochania.

Mniej tu może nowości, niż w poprzednim, ale oryginalności, polegającej na zupełnie indywidualném, szczerém i harmonijném odczuciu rzeczy, — bardzo dużo. Ostatnie dwa wiersze — to niejako klucz muzyczny, wskazujący ton duszy poetki, w jakim to prawo wszechświata w wyrazy zostało ujęte.

O sny! o prawdy! złudzenia! pewniki!
 Kto między wami położy granice?
 Kto rzuci w chaos i zamęt wasz dziki
 Zbawiającego światła błyskawice?

Gdzie Edyp, który drżące niewolniki
 Zbawi od Sfinksa i te tajemnice
 Rozwiąże, które wiecznie dręczą ducha?
 Lecz kogo pytam? To sam Sfinks mnie słucha.

Zobrazowana tu została z niezmienną ścisłością jedna z tych myśli starych, co to wiecznie będą nowe. Muszę jednak wyznać, iż dopuściłem się tu nieznacznego fałszerstwa, a mianowicie: zastąpiłem wyrazem: dręczą — wyraz „pożerają”, podyktowany poetce oczywiście przez pewną manierę, wytworzoną po za granicami szczerých natchnień.

O ile można wnioskować z tego, co ukazało się w druku, cały poemat jest rozwinięciem tylko myśli powyższej: „nie wierz, kto mówi...” Lucyl ubóstwia jako kochankę i ideał zarazem Imaginę, a zgrozą i wstrętem go przejmują królowa jaru alpejskiego, Megistelejda. Tymczasem na oczach jego z dnia na dzień postaci Imaginy przybywa jakiś rys Megistelejdy, aż wreszcie pierwsza cała się w drugą zmienia. Może to jest historia umierania wszelkich ideałów młodzieńczych?... Miejscem akcyi, zarówno jak i wielu szczegółami i zwrotami, poemat ten przypomina „W Szwajcaryi”: smutek eteryczno-powiewny, tętnący z tego ostatniego poematu, widocznie w najwyższym stopniu licuje z usposobieniami samej poetki. Z sądem stanowczym o „Imaginie” wstrzymać się należy naturalnie do poznania końca; mogę tu jeszcze tylko dorzucić, że i ten najobszerniejszy i najpiękniejszy z poematów Konopnickiej, chociaż zdaje mi się, że na niektórych jego miejscach znać niby pracę nad przekładami, — wielce nieraz szpeci nie liczenie się ze słowami. Nie rozwodząc się zbyt nad tym punktem, zrobię tylko uwagę, że takie zbyt już eteryczne wyrażenia się, jak niżej, nie dadzą uroku niczemu: „na skale szczepił róż dziwnych błękity,” albo „poją rosą tęsknoty snów błękitne róże.” Nie pojmuję upierania się przy tym istotnie „dziwnym” kolorze tego kwiatu.

O najpóźniejszym z poematów Konopnickiej: „Pan Balcer w Brazylii” nie dobrego powiedzieć nie można, ani też wiele nowego, chyba że zanotujemy, iż tu po raz pierwszy w pismach swoich wprowadza poetka gawędę wielu osób do ulubionej swjej oktawy. Powrócimy jednak jeszcze na chwilę do tego poematu później.

Inne większe poemata, jak „Romans wiosenny”, „Klaudia”, „Tareza Scypiona” — nie dają powodów do zbyt długich zaciekań się. Pierwszy — to, jak już mówiono tu przedemną, sprowadzone z gór do ogrodu przy dworze wiejskim „W Szwajcaryi”; drugi, oprócz wykazanych tu też w r. 1881, anachronizmów i anachoryzmów, ma parę ustępów udatnych, ale całość nie wiadomo do czego zmierza, bo do nieze-

go nie dochodzi; trzeci — to dwa poemata w jedno złączone: o rybaku biednym, co bohaterkę tytułową z Rodanu wyławia, i o jój pochodzeniu: poświęcę kilka słów téj drugiej połowie.

Kartagina „jako stos się pali”, wydana na łup i rzeź rozjuszonymu żołdactwu. Pretor, „dziki atleta”, wyglądający bardziej na setnika, niż na drugiego dygnitarza Romy, wypcha do samotnego namiotu wodza-młodzieńca pojmaną na ulicach płonącego miasta cudnej urody brankę i zdarłszy z niej ostatnie zasłony — znika w mroku. Wzruszenie idealno-zmysłowe, jak i w kilku innych utworach Konopnickiej, oddane tu znakomicie. Ale wódz-dziewica hamuje swe żądze rozszalałe i ze słowami: „jesteś wolna” — daje jój tarczę swoją. Nią okrywszy znaczne braki swego stroju, przepuszczana nie tylko przez strażę, lecz widać i przez tłumy rabujących, idzie ona... dokąd? zapyta czytelnik, kiedy dom ojca jój wraz z całym miastem gore, czy nawet już zgorzał, kiedy ona z niego na ulicę uciekła. Kapłan punicki Celtiber, widząc córkę powracającą w swój „dziewiczy” krasie, niby weale nie zrujnowany do cna, niby był czas wtedy na to, każe płatnerzom z bryły srebra wykuć tarczę wspaniałą i szle ją „w obóz Scypiona”, który nie miał nawet jeszcze czasu odejść z armią.

IX.

Otóż i obeszlśmy całe państwo natchnień Konopnickiej, a nawet w wielu miejscach wyrzeliśmy po za jego granice, postarajmy się jednak dokładniej je określić, stawiając sobie za ideał geografie.

Kwestya czystego humoru zdaje mi się wyczerpaną: do niego talent poetki stanowczo się nie spuszcza, pozostaje więc nam udowodnić, że się on i w sfery wyższe nie szerzy, że i ich nie dosięga.

Taine w „Historji literatury angielskiej”, mówiąc o Szekspirze, czyni uwagę, iż niemożliwą dlań byłoby rzeczą wyobrazić sobie w naszym wieku pisarza, przez którego duszę mogłyby przejść marylaki potęgi i wielkości, nie wyprowadzając jój z równowagi. Przykłady: Musset i Hugo, opanowani w końcu przez dwie przeciwne sobie manie. Jeśli w zdaniu tém dwie te dusze porównać do kotłów, które pękają ostatecznie pod zbyt silnym, chociaż długo wytrzymywaniem, ciśnieniem pary, — to dusze mniej lub więcej nienadzwyczajnych śmiertelników będą kotłami, opatrzonemi dobrze funkcyjującą klapą bezpieczeństwa: jak tylko ciśnienie przenosi średnią wytrzymałości ścian kotła — para ucieka przez klapę. Dusze takie, powtarzając raz już użyte wyrażenie się, muszą odczuwać wszelkie zbyt silne dla nich uczucia, jeśli

tylko nie mogą nie odczuć ich weale—jako chaos. Otóż zdaje mi się, że dusza Konopnickiej musi posiadać ową klapę bezpieczeństwa w najzupełniejszym porządku: brak jęj absolutnie pocucia wielkości w czém-kolwiekbaż.

Weźmy np. najprostsze, najczystsze, najczęścięj napotymane z pojęć tego rodzaju: Bóg. Poetka w pismach swych nader często go nagabuje, nigdzie jednak ani cienia wielkości mu nie przyznając: woli mu ona kazać od czasu do czasu popłakać nad wszystkiem, czego sam ponarabiał na ziemi. Zachodzi to tak daleko, że razu pewnego, na wzór Mickiewicza, który tak często, „gada z królującym w niebie”,—rozpoczynając pogawędkę z Panem Bogiem, odzywa się do niego ona, niby do pachółka lub w najlepszym razie do dobrego znajomego, w te słowa: „Zamknij podwoje”. Nie będę się wdawał w ściślejszą analizę „Przed Bogiem”, unikając niesmaku, dodam tylko, że antropomorfizacya Bóstwa, więcęj: jego ginekomorfizacya, więcęj... ale i tego dość—dalej niż w pismach Konopnickiej, jak mi się zdaje, na świecie posunięta nie była. O „budzeniu Chrystusa ukrzyżowanego” nie chcę już i mówić! „Ten Pan Jezus” i „ten Ojciec Stworzyciel” tém czulęj kochający działwę swoją, im ona jest biedniejsza — są w utworach jęj przećudni w swęj poetyczności rzewnej, ale wieley władcy niebios!..

Weźmy wielkość w naturze, i to tylko wielkość w piękności, nie zaś tę, w jakiej odcucie wejść musi, jako pierwiastek konieczny i główny, pojęcie o nieskończności, której „zarysy”, mówiąc mimochodem, widuje jakoby czasem poetka. Nie będę powtarzał przebiegu analizy obrazów tatrzańskich („W górach”) i sądów na nięj opartych, ażeby uniknąć przepisywania „Ateneum” w „Ateneum”, dam zaś inny przykład, chociaż mały, ale, jak mi się zdaje, zupełnie wystarczający, a tę mający nad poprzednimi przewagę, iż pochodzi z roku zeszłego, nie zaś z przed lat dwunastu. W wierszu, który mam na myśli, Konopnicka usiłuje upewnić czytelnika, że pewien zachód słońca sprawił na nięj wrażenie olbrzymie, wtrącił w ekstazę. Tymczasem okazuje się, że poetka się łudzi najzupełnięj co do charakteru i siły swego wzruszenia ówczesnego, którego plód u dołu opatrzony jest wyrazem „Chiemsee”, żeby to niby potomność mogła wiedzieć dokładnie o czém i gdzie napisany został jeden z najmnij szczerych, a przez to samo i najslabszych utworów świata.

W zachodu złotą płyniem dal
Po szmaragdowej fali,
Na krańcu nieba ogniem zórz
Wielka się łuna pali.

Ogromny słońca płonie stos
 Na samej nieb krawędzi
 A taka cisza, że bez tehu,
 Łódź nasza w ogień pędzi i t. d.

I złość, i wstyd mnie ogarnia przy czytaniu tego wierszyka! Coś podobnego podpisuje jedno z najpierwszych imion w naszym piśmiennictwie, drukuje jedno z najpoważniejszych pism, a co najgorsza, ludzie czytając to, nie parszczą śmiechem, nie uczą się tego na pamięć, jak to zwykli czynić z rzeczami analogicznej wartości artystycznej, chociaż większej pod względem dowcipu jak np.:

W nocy w samo południe o świcie
 Jadę konno piechotę w karęcie.

Pomijam już „złotą” czerwień Zachodu i ciszę, która niby wiatr w żagiel dmący, jest tu przyczyną pędzenia łodzi „bez tehu”, ale co mnie już do głębi duszy oburza, to owa „szmaragdowość” wody, która dla patrzącego w kierunku łuny zachodowej, na zasadzie najniezmienniejszych praw fizyki, musi czerwień włąśnie odbijać, mogąc się nawet, szczególnie przy „ciszy” zupełnej morzem krwi zdawać. Oczywiście my, ucywilizowani, tylko pod nogi zwykliśmy już patrzeć. ♦

Muszę teraz przypomnieć czytelnikowi, jak czarująco niekiedy wygląda natura w nowelach chociażby rzewnych Konopnickiej, kiedy nie chodzi tej ostatniej o żadną wielkość. Cicha, żywa i rzewna ekstaza owęj staruszki wobec przyrody—cudną jest w swęj prostęj i szczeręj małości, ale już ekstazy olbrzymie i wszechwładne „Głupiego Franka”, który „godzinami w słońce patrzy”, mogą tylko ubawić.

Weźmy wielkość w miłości, macierzyńskiej chociażby. Poetka wzięła — prawdopodobnie z opowiadań Ćwirki — następujący epizod. Pewna wieśniaczka emigrantka widząc w drodze do Brazylii, jak trupy rzucają do morza i jak je tam rekiny rozdzierają, ukrywa śmierć swego dziecka. W chwili przybicia do brzegu spostrzegają wreszcie, że nieszczęśliwa już tylko zwłoki rozkładające się piastuje. Łatwo zrozumieć, że część olbrzymiem musi być rozpacz napół obłąkanęj kobiety, kiedy jęj odbierają trupa, którego przez parę dni w taki sposób od wyrzucenia z okrętu chroniła. Opis artystyczny takiej sceny musi przekroczyć granice smutku: tu trzeba szału niezmiernego. Otóż Konopnicka składa najwyraźniejszy dowód, iż brak jęj zupełnie pocucia wielkości rzeczywistęj, jaką winna być nacechowana taka chwila. Do obrazu jęj wprowadza ona zaczerpnięty we własnej już wyobraźni — ściślej byłoby: w skarbcu własnej przesady—szczegół, który monstrualną swoją niemożliwością tak wszystko szpeci, że większe wrażenie wy-

wolałoby zupełnie suche, protokularynie nagie przytoczenie faktu. Majtkowie jak dzikie zwierzęta, rzucają się niby na nieszczęsną matkę, któraby i w antropofagach nawet litość wzbudziła, z krzykami w rodzaju: „złodziejka! Morzu ofiarę wydarła” i t. d. Wloką ją na pokład, żeby sama patrzyła „za karę, jak jój szczenię pójdzie do dna”. Do potworności tej zaledwo warto dorzucić, że obecny przy tém mąż i tłum takich jak i on pielgrzynów po dolę, słówkiem nawet nie występują w obronie téj kobiety.

Scenę tę znajdujemy we wspomnianym wyżej poemacie „Pan Balcer w Brazylii”, który w całości swój jest tylko rymowaném opowiadaniem o rzeczach, których w swoim czasie pełne były wszystkie pisma brukowe.

Wielkość w nienawiści? wzgardzie? Serce poetki zbyt jest kobięce, zbyt czule, aby się na uczucia takie nawet w słabym stopniu, zdobyć szczerze i całkowicie. Odcienie takich uczuć napotykamy tylko w rzeczach najzupełniej chybionych z punktu widzenia artystycznego. Do kategorii utworów, które tu mam na myśli, zaliczę cały cykl poezyi, malujących nadludzkie męczarnie „maluczkich” i zwalających winę za nie całkowitą na niemaluczkich. Takie są w I-szym tomie: „Wolny najmita”, „Przed sądem”, „Bez dachu”; w drugim: „Zaś nie doczekał”, „Z szopką” i t. d. We wszystkich tych utworach zarówno panują niedomówienia, przesada lub konwencyonalność zmanierowana w wyrażaniu uczuć, nieprawdopodobieństwo sytuacji i moc sprzeczności wewnętrznych.

Weźmy jeszcze wielkość w żądzy wiedzy, w zapale dla idei. Vesalius zajęty jest sekcją trupa, wtém daje się słyszeć wrzawa i silne uderzenia w bramę: to hiszpańska inkwizycya nieubłagana i tłum roz-wścieczony. Wierny sługa chce zakryć trupa i zagasić światło, co zresztą téż nie na wiele w podobnym wypadku przydałoby się mogło, ale uczony badacz odpowiada:

Nie, to być nie może,
Żebym ja, teraz właśnie, gdy przyroda
Tajne mi swoje daje posłuchanie
I już mi drogi odsłania przewodnie,
Rzucać miał pracę... Hagon! wznies pochodnie!

Gdyby Vesalius nie słyszał nawet wcale zatopiony w swój pracy, tych hałasów groźnych, gdyby wcale nieświadomy straszliwego niebezpieczeństwa, a świadomy jedynie drgania pochodni w ręku sługi rzucił tylko dwa ostatnie wyrazy z całej swój patetycznej deklamacyi, przypo-

minaloby to archimedesowskie *ήρως*, ale byłoby na wysokości sytuacji, ale tak?...

Dalej Hagon woła znowu: „Drzwi wysadzają... panie! rzuć te noże!” na co odpowiada apostrofa rozwlekła uczonego.

Milcz, słaby starcze! wojownik nie ciska
Sztandarów swoich wśród pobojowiska...
Niech uzbrojona do czynu prawica,
Jak jutrznia wiekom idącym przyświeca...

Powiem mimochodem, że wszystkie „Fragmenta dramatyczne z przeszłości” tę noszą wspólną cechę, że wyglądają na proste rozproszanie w wodzie frazesów poprzedzającej każdy z nich krótkiej wzmianki historycznej, która niezmiennie daleko, nieskończenie głębsze od samego „Fragmentu” sprawia wrażenie.

X.

Tu miejsce na pewne zastrzeżenie się. Wszystkiego, co wyżej powiedziane, nie chcę wydawać za jakieś wyroki bezwzględne. Jeśli można dojść drogą ciągłych wysiłków woli i egzercytowania się — do panowania nad nerwami, któremi zwykle rządzą — nieświadomie dla mózgu — zwoje nerwowe kości pacierzowej, to może i można też wyrobić w sobie zdolność do odczuwania i odtwarzania uczuć, dawniej obcych, chociaż to ostatnie zdaje mi się trudniejszym. Nie przesądzam, czy nie doczekamy się jeszcze kiedy jakiegoś utworu Konopnickiej, który przejmie nas nie już nowym lub dawnym odcieniem smutku, lecz wprost ogromem grozy, lub podziwem najwyższym, twierdząc jednak z czystym sumieniem, że wśród tych utworów poetki, jakie czytałem, żaden takich uczuć nie mógłby wzbudzić.

Jeden tylko „Prometeusz i Syzyf” (Biblioteka Warszawska, wrzesień 1892) zdawał mi się chwilami mocnym zburzyć całe rusztowanie mojej hipotezy co do charakteru i siły talentu Konopnickiej, ale przewrócenie kartki zawsze mnie uspakajało pod tym względem.

Odlóżmy jednak na chwilę analizę szczegółową tych istotnie uderzających czasem i dających do myślenia scen dramatycznych, a rozejrzyjmy się po przekładach Konopnickiej, które, jak mi się zdaje, są jedynym więcej dowodem na korzyść wszystkiego, co o niej powiedziałem dotychczas.

Nie będzie mi tu chodziło o wierność ich oryginałowi albo też większą lub mniejszą piękność formy. Zaledwo nawiasem wspomnawszy, że często wiele własnego wlewa w nie tłómaczka, postaram się

zwrócić uwagę czytelnika na treść i barwę utworów, na które pada jęj wybór, najzupełniej wolny niewątpliwie. Otóż zdaje mi się, że przy wolności wyboru, człowiek talentu będzie tłómaczył tylko to, co go szczerze porywa czy wprost wzrusza, z czém rozkosznie mu jest przedstawiać, w co chce się wcielić wyobraźni jęgo, co nie stanowi z prawami jęj dysonansu, co za wzór służy jęgo własnemu uczuciu, co zdaje mu się z jęgo własnych ust wyjętém, co mógłby on sam lub w najgorszym razie chciałby móżd sam wypowiedzieć.

Ghazele Vrehlickiego cechuje pogoda, zabarwiona lekkim odcieniem rzewności, a chwilami i smutku; myśl, najbardziej niby oderwana, występuje tu jako pierwiastek pogody lub smutku, spokoju ducha lub pragnienia. Nie ma wśród ghazel tych ani jędnęj nie potracającęj jękięjs struny rzewności. Wogółę tonów oryginalnych w sposób wyższy i potęężnych w ghazelach i serenadach Vrehlickiego, tłómaczonych przez Konopnicką — ani śladu. Jędna z ghazel tych („Rozszerzcie Boga”) niektórymi z wyrażęń się swych jak np.: „Precz z maską pustych form!” i t. d. przypomniała mi analogiczny co do treści urywek Harcourt'a z cyklu „*L'ame à nu*”, pod tytułem „Rada mistrza”. Jakąż marną choć rzewną gadaniną wydaje się owa ghazel poety czeskiego wobec przedziwnęj skoncentrowanęj potęgi, uczucia i myśli, wyraźności i konsekwencyi, jaką widzimy u poety francuskiego. „Cyd w pracy” może być pominięty, „Lirnik” Platona Kosteckiego—to rzewność. Trzy piosenki Tupego—toż samo, „Wojna” Ludwiki Ackerman w bardzo pięknym przekładzie Konopnickięj nie budzi cienia nawet tęg grozy, jaką tęhnie oryginał. Najpiępięj przetłómaczone są tę jęj ustępy, w których skrajna i beznadziejna najczęścięj pozytywistka francuska rzuca hasła cywilizacyjne, nawołującę ludzkóść do użycia sił swych i krwi na walkę z nędzą, zbrodnią i ciemnotą. Ta tęg niewątpliwie strona, omal nie piękniejsza w przekładzie niż w oryginale, stała się pobudką do dokonania samego przekładu. W każdym razie jędnak „Wojna” ta nie wychodzi w spolszczeniu swém ani na chwilę z granic przepehnionego goręczą smutku. O nawpół humorystyczném a nawpół rzęwném „Dziecięciu wieszczek” Heyse'go nawet mówię nie będę. Do tomiku III-go nie weszły liczne przekłady Konopnickięj z Heinego. Heine, jak wiadomo, za pomocą kontrastów, których jest mistrzem w niemniejszym niż sam Wiktor Hugo stopniu, wyraża bardzo często najwyższęj potęgi uczucia. Otóż żadnego z tęg rodzaju utworów niemieckiego poety nie znam w przekładzie Konopnickięj: „*Atta Troll*”, urywki wierszowane z „Podróży po Harzu”, parę baład — wszystko to tęgące naprzemian to ironią, to smutkiem — oto wszystko, co z dzieł Heinego zdawało się odpowiadać usposobieniom i nastrojom naszęg poetki.

Z danych tych pozwalam sobie wyprowadzić wniosek, że Konopnickiej brak poczucia wielkości nie tylko w naturze, lecz nawet w utworach ludzkich.

Teraz pozostaje nam już tylko analiza „Prometeusza”.

Jak „Banasiowa” i „U źródła” są szczytem najwyższym twórczości artystycznej, tak znów myśl Konopnickiej w „Prometeuszu” sięga swego zenitu. Utwór ten wiele wniosków nastęcza. Widzimy tu, że umysł Konopnickiej jest wysoce rozwinięty i wykształcony i brak wiedzy potrafi zastąpić czasem podziwu godną intuicją. Umysł to, co naprawdę „dotknął wszystkiego w niebie i na ziemi”. Naturalnie, idąc w ślady innych, umysł — posiadający niezwykłą zdolność do asymilowania w sensie fizyologicznym, że tak powiem, czynienia zupełnie swymi na chwilę najszczytniejszych idei cudzych w stopniu, sięgającym możliwości obrazowego ich przedstawienia. Sceny te dramatyczne służą jednak nie mniej za wyraźny dowód, że tych idei cudzych, które niezależnie od zgodności swój lub sprzeczności, kolejno ją uderzają, nie zdolna jest Konopnicka przyjmować krytycznie, układając je w jakiś całkowity i harmonijny pogląd na wszechświat i świat, pogląd, który mógłby służyć za nie Aryadny w labiryncie myśli oderwanej lub życia rzeczywistego.

Zacznijmy od przyjrzenia się surowemu materiałowi, z którego poetka dzieło swoje utworzyła, czyli samemu podaniu mitologicznemu. Prometeusz — to tytan, brat Atlasa, spadkobierca nienawiści ku Zeusowi, pełny nieugiętej dumy i siły ducha; pragnąc być twórcą, jak bóg, urabia on z gliny człowieka i by mu życie rzeczywiste nadać, kradnie ogień boski, pierwiastek jego, za co rozkaz Zeusa do skały go przykuwa i na męczarnie skazuje, dopóki go od nich nie uwalnia siła Herkulesa, największego z Kiszotów starożytności. Syzyf — to człowiek półboskiego pochodzenia, syn Eola, bajeczny założyciel Koryntu, który za zbrodnie swoje niesłychane i okrutne skazany został przez Zeusa na tożnienie pod górę wiecznie staczającego się na dół kamienia.

Konopnicka zaczyna od zmiany zupełnej pozycji względnych dwóch bohaterów dyalogów swoich, czyniąc z pierwszego człowieka, a z drugiego tytana. Dalej zbrodnie syzyfowe wyrzuca zupełnie ze swjej koncepcji i czyni miejscem owjej pracy jałowej ziemię, nie zaś piekło. Przystąpmy teraz do rzeczy, zaczynając od samego początku, od epigrafu: „*Abyssus abyssum vocat*”, nastęczającego wiele myśli nie tylko ze względu na to, co po nim następuje, lecz — i na poetkę samą.

Władcy nieba i ziemi zasnąć nie pozwala łomot kamieni, toczących się w przepaść po skale. Prometeusz więc, któremu sen jego, umożliwiający wykradzenie ognia, jest niezbędny, chce się dowiedzieć,

zkał hałas ten pochodzi, żeby go mózgi uciszyć. Przenosiła to wyraża, jak mi się widzi, myśl, że bądźco bądź ta praca straszliwa i nieustanna na ziemi jest przedmiotem — niewiadomo dlaczego i jakiego — niepokoju bożego, który jednak w dalszym ciągu okazuje się najzupełniej nieuzasadnionym.

Syzyf, dosłyszawszy w głębi swojej przepaści wołanie z góry, a widzieć nie mogąc, bo „pyły oczy zasypują”, myśli, że to krzyk bujającego gdzieś w górze orła, rozróżniwszy zaś wyraz „Człowieku!” rozumie:

„Orzeł, który gada. No, no! I nazywa mnie człowiekiem. Musi być bardzo wysoko: nie może widzieć, że jestem tytanem. Z góry nigdy dobrze nie widać, co się dzieje w dole... (*Woła*). A czego tam, orle?

PROMETEUSZ. Orłem mnie nazywa! Dziwne pojęcie o nas mają te istoty, tam w dole żyjące. Z głębi, w którą go Zeus wtrącił, nie może mnie widzieć; szatę moją, z wiatrem wiejącą, skrzydłami być rozumie. (*Woła*). A co tam robisz, bracie?

SYZYF. Mówi: „bracie”. Piękna to rzecz, ale nie jest prawdziwa... Żebyś ty bratem był, tobyś ze mną u roboty stanął... a nie bujał gdzieś po szczytach... Ile razy ci tam w górze pomocy naszej potrzebują, to nam mówią: bracie. Nie dowierzam ja ci, ptaszku. No, ale słuchać mogę.

Ustęp ten świetny sam w sobie, jest doskonałą z pewnego punktu widzenia, ekspozycją kwestyi socyalnej. Wzajemna nieznajomość siebie, wzajemna nieufność, sprzeczność; w celach i przeznaczeniach — zaznaczone tu wybornie. W przenośni tej Syzyf — to oczywiście stan czwarty, Prometeusz — to uosobienie sybarytyzmu duchowego.

„Czy prędko skończysz robotę?” — pyta dalej Prometeusz.

SYZYF. Czy ja skończę? Nie wiem... Toczę głazy, a one się walą w dół, a ja znów toczę. Jakiż tu może być koniec? Śmiałbym się z pytania twego, gdyby nie to, że mi pyły zasypują oczy do łez...

PROMETEUSZ. Czy za pokutę zadano ci tę pracę, biédaku?

SYZYF. Nie wiem o tém. Od czasu, jakiem raz pierwszy ramionami ruszył i poznał w nich siłę... toczę tu głaz po głazie z dna przepaści. Czasem głazy są cięższe, czasem lżejsze, ale wszystkie staczają się na dno. Zawsze też jestem w pocie... Żebym tylko mógł... raz chociaż... na sam szczyt... (*Nowy grzmot słychać staczającego się w dół kamienia*). Ale nie mogę. To nie jest pokuta. To jest życie.

PROMETEUSZ. Dlaczego toczysz te głazy?

T. I. Z. II. 1894.

SYZYF. Jakto, dlaczego? Ponieważ spadają, więc je toczę. To jest bardzo proste.

To upostaciowanie „wiecznie czynnej, ślepej” nieświadomością swą „siły” jest wprost szczytne.

SYZYF. Ale co ty tam robisz w górze? Nie pojmuję, co tam można robić w górze? Tu, co innego. Tu pełne ręce roboty.

Odpowiedź: „Żyję” wywołuje nowe pytanie: „Więc i ty głazy toczysz?” Usłyszawszy, że „życiem Prometeusza jest nieśmiertelny ruch myśli”, pyta znów: „Ale cóż ty właściwie robisz?” — PROMETEUSZ. Prawdy szukam. — SYZYF. Czy zginęła? — PROMETEUSZ. Nie była znalezioną nigdy... — SYZYF. Skądże wiesz, że coś, co nie było znalezionem, istnieje? — PROMETEUSZ. Czuję ją. — SYZYF. Więc ona boli ciebie? — PROMETEUSZ. Tak, ponieważ jej nie znam. — SYZYF. Nie pojmuję! Jakim sposobem może boleć coś, czego nie znam. Kiedy mam grzbiet zraniony i zszarpaną skórę, boli mnie, ale wiem dobrze, co mnie boli, ból mój znam... Wiem dobrze, jak nazywać głaz, co mi ból zadał. Kopię go i krzyczę: Przeklęty!

Trzeba przyznać, że Konopnicka staje czasem na wyżynach rozumienia ducha ludzkiego. Zanotuję tu też mimochodem, — chociaż nie ma to osobliwszego związku z olbrzymią ideą przewodnią I-szej tej sceny — radę Syzyfa, jak wydobyć światło, które zawsze samemu sobie krzesać trzeba. „Uderzaj mocno rzeczy podobne do siebie”, nie dbając, „że się coś strzaska: Człowieka o Zeusa na przykład. Jeśli człowiek wytrzyma, to będzie miał z tego taką jasność, że to ha!...”

PROMETEUSZ. Kiedy głaz w górę toczysz i oczy podnosisz za nim, czy widzisz jasność... tam wysoko?...

SYZYF. Ja wtedy zamykam oczy, bo się żwiry na mnie sypią. Zresztą, gdybym wyżej dojrzał, możebym i głazy wyżej musiał toczyć...

Wysłuchawszy jako „bajki pięknej” opowiadania Prometeuszowego o słońcu, księżycu, gwiazdach i zorzach, pyta Syzyf: „Czy wy tak bardzo szczęśliwi jesteście... że wam do oglądania tego szczęścia tak moenych, tak licznych, aż boskich światel trzeba? — PROMETEUSZ. Przeciwnie! Ród mój jest nieszczęsny... — SYZYF. Czy także głazy toczy? — PROMETEUSZ. Gorzej!... On toczy myśli swoje (wolę... ducha), a myśli... wola... duch... staczają się na dno. Szczytem jest Zeus, skalą życie, dnem nicłość.

Wielka tu siła i wyrazność myśli, ale Konopnickiej w dalszym ciągu nie udaje się utrzymać na jednym i tym samym punkcie widzenia. Pominawszy drobne sprzeczności, jakie dałyby się wykryć już w samym „Przed wiekami”, przejdźmy do sceny II-giej „Po wiekach”. Stanowi ją monolog Prometeusza, któremu udało się właśnie ukraść

„jeden z siedmiu gromów, co stopy Zeusowi liżą” (?). Gadanie to nie natchnione, w którym nosiciel „iskry życia i nieśmiertelności” nadaje sobie tuzin tytułów, jakimi obdarzy go niechybna sława nieśmiertelna u ludzi. Płaczą się tu pojęcia, to o Chrystusie, to o Prometeuszu z mitologii przemieszane z bardzo ludzkimi pierwiastkami. Gmatwanina to jedném słowem nie do rozplątania.

III-cia scena jest już po męce, z której Prometeusza wybawia iskra ukryta w sercu, do którego „sęp darmo sięgał”, iskra wyglądająca na miłość. Dawca światła staje nad przepaścią i zdziwiony jęj ciszą, woła do Syzyfa i słyszy w głębi w odpowiedzi jęk: „Przeklinam ciebie!” — PROMETEUSZ. Za co? — SYZYF. Czekaj. Niechno się podniosę... — PROMETEUSZ. Przywaliła cię skała? — SYZYF. Sam padłem. Z rozpaczy rzuciłem się na samo dno przepaści i głowę ukryłem w prochu. Skrzywdziłeś mnie, orle!... Od czasu, jakieś mi powiedział o światłach owych... spokoju nie mam... szukam ich, pożądam, chcę ujrzyć... Wieki minęły, na rzesach moich zeskorpowały powietrzne pyły, a ja patrzę w górę... Ale światel owych nie widzę. Pogasły może?... Pocóżes mi mówił o rzeczach pięknych... których oglądać nie mogę... Dawniej było spokojnie. Ciemność była dla mnie, a ja dla ciemności. Znałem ją... Cokolwiek nie było mną i głazem, nią było... ¹⁾ Teraz głaz toczę i patrzę. Nie na głaz patrzę, tylko oczyma owych światel szukam, a głaz mnie kaleczy. A potem głazy zrobiły się cięższe. Czy może przepaść głębsza... Dawniej... toczyłem głaz po głazie i nie przykryłem sobie téj roboty. Teraz rozważam. Teraz mi ramiona mdleją, teraz się ociągają, sam nie wiem dla czego... Skorpiony po ciele mojem chodzą, i niedźwiadek lega ze mną, i żmija okręca się około nogi mojej, a szkody mi nie czynią, lecz to jedno słowo (dlaczego) zabiło mnie... Zdawało mi się dawniej, że toczę głazy z własnej mojej woli; toczę, bo toczę... Teraz wiem, że w pracy mojej jest przymus i rozkaz... konieczność jakaś... czuć, jak ci ręka czyjaś pierś uciska... Oddech—ten cię nie boli, nie wiesz o tém, jest tobą. Lecz gdyby cię do każdego technienia kto przymuszał... Gdybym choć wiedzieć mógł, że jest coś! Ale może nie ma nic. W ciemności widzieć nie można, czy co jest, czy nie ma. Lecz jeśli nie ma—nie jest w takim razie. Nie, któremu służę... które mi rozkazuje... jest panem czegoś... lecz w takim razie ja także chcę być niczem. To proste!

Rozumiejmy już w Syzyfie nie demos, ale ludzkość, w Prometeuszu zaś jakieś okrutne pół-objawienie bóstwa lub nawet czas, a scena ta przejmie nas chwilami grozą swego pesymizmu, chociaż w granicach

¹⁾ Obraz ten nieświadomości i niewiedzy przeczy Syzyfowi ze sceny I-szej.

potrzeb wyłącznie idealnych zacieśnionego. Ma to być niby świadomość filozoficzna swój nieświadomości i niewiedzy, w nie jednak, niby świadomość absolutna, obracająca wszelkie przyzwyczajenie, wszelki instynkt, wszelką odruchowość. Scena ta rzecz przedstawia tak: wszystkie dawne punkta oparcia—zwalone, a nowych nie ma i ludzkość zapada w otchłań rozpacz.

Naturalnie byłoby to rzeczą do pewnego stopnia podziwu godną, gdyby było pisane przed Chrystusem, bo już musi się wydać zamało głębokiem teraz, kiedy najzawodowszy pesymizm nietylko za źródło mąk myślenia oderwanego („dlaczego?”) nie uważa, lecz wraz z wrażeniami estetycznemi ma je za wyjęte z pod przekleństwa cierpienia, kiedy po najusilniejszych szperaniach w naturze, duszy i życiu ludzkim ujrzał się on zmuszonym oprzeć koncepcje swe złowrogie na analizie niewolnictwa człowieka względem dwóch dzielących go między siebie instynktów ślepych: samozachowawczego i zachowania rodzaju. Dlatego też, nie mówiąc już o Schopenhauerze i Leopardim, nawet najsuchszy i najkompletniejszy kompilator czy eklektyk pesymizmu i Hartmann, swą analizą życia i określonością jej — sprawić musi na czytelniku nieskończenie głębsze wrażenie.

Położywszy jeszcze nacisk na to, że niezręczne to wprowadzenie do rzeczy owego pierwiastku „dlaczego?” przypomina maniérę poetki z malowierszykowych deklamacyi—przejdę do tego, co następuje.

Daléj Prometeusz opowiada sam sobie, jak wiele (!) z iskier ukradzionych rozdał on ludzkości, w której zrodziły one, udoskonalając moralnie i umysłowo, „sily nowe”, którą uszlachetniły przez ideał niby; wreszcie mówi, jak go ostatnia iskra—miłości jakoby — wybawia od męki; Zeus bowiem, nie chcąc saméj iskry téj zniszczyć gromem (a więc ona była zniszczalną?!), zabijając Prometeusza (a więc on nie był nieśmiertelnym?!), uwolnił go, widząc co się dzieje: „iskra gorzała nad wiecznemi śniegami Kaukazu tak wielką łuną”, że ludzie się budzili, i podnosząc głowy mówili: „Prometej tam żyw jest! Prometej tam każn cierpi! Prometej świeci w męce!” I stało się, że pojęcie życia i męki, męki i blasku zórz, każni i najwyższej chwały złączyły się...” Koniec tego ustępu, niby z ust Krasieńskiemu wyjęty, piękny jest, całość jednak jego uderza swemi sprzecznościami i brakiem zupełnym poczucia nieskończoności, wieczności, nieśmiertelności. Wyobraźnia starożytnych podniosła się ponad Olimp i Zeusa do Ananke ¹⁾, ale Konopnicka nawet po doskonale utartéj drodze tak wysoko wnijść się nie może.

¹⁾ Wiktor Hugo z niepojętą szczytnością i jasnowidzeniem maluje niejednokrotnie w „Legendach wieków” ten krok naprzód w wyobraźni ludzkiej. Ciśnie

Ostatnia owa iskra dostaje się „mocnemu a ślepemu Syzyfowi, a „Po wiekach” dawca jój, ciekawy dobrodziejstw, jakie z niej na tytana spływały, idzie na nową z nim pogadankę i zastaje go już siedzącym na miejscu, na którym dawniej on sam stawał. Syzyf przyjmuje go drwinami i śmiechem, dziwi się jego małości, przezywa rozdawcą „jasełkowych” świeczek, pyta z ironią, czy nie przychodzi go on znów „zaczadzić” i wreszcie opowiada taką historię o owój iskrze, która z miłości staje się czystą i zimną świadomością siebie i świata zewnętrznego: „kiedyś ją (iskrę) rzucił tam do mojej dziury, zrobiło mi się nagle jasno, ale to tak jasno, że o kęs nie oślepił na piękne. ...I zobaczyłem, że to co miałem za głazy było nędzą, za szczyt. — głupotą, za przepaść — krzywdą. Padłem tedy i gorzko płakałem... Potem... rzekłem. Nie jest nigdy ciężar nędzy większy nad głupotę, ani krzywda nie jest głębszą nad nią ¹⁾. I podniosłem się... i zobaczyłem, że ta jaskinia, którą... miałem za świat cały, jest sobie lichą budą... Rozwaliłem ją... kopnięciem... i wytknąłem głowę... Było przeraźliwie jasno. Wielkie to światło, o którym mówiłeś, że dniem rządzi, świeciło mi prosto w oczy, zrazu podnosząc się w górę, a potem staczając się na dół. Patrzyłem ciągle. I wyszło z... nizin światło blade, które rządzi nocą; i to w górę szło nad głowę moją, a potem stoczyło się na dół... Patrzyłem dzień... noc... i znowu... i znowu... i jeszcze... Wiesz, co ci powiem? Przekonałem się, że niebo, Olimp, to taka sama jak moja, tylko szczytem na dół odwrócona przepaść, że Zeus jest w niej takim samym pacholkiem, jakim ja w mojej dziurze byłem, i że te wszystkie światła, to poprostu większe i mniejsze głazy, które on w górę toczy, i które ciągle spadają... Opanował mnie śmiech. A potem znów padłem i płakałem... Przepadało coś, ginęło, rozdzierało się we mnie!... Aż i to przeszło. I ból jest głazem, który się przez pierś toczy i opada... I czas... I wszystko... wszystko... Więc kiedyś to sobie rozważył, zadziwiłem się wielkiej nędzy świata...”

Ano, to już ma być chyba przyszłość ostateczna ludzkości, brak może jeszcze jednego tylko ogniwa, które, dzięki strasznej gmatwaniu, dostało się do poprzedniej sceny: wytężenia zbiorowej woli ludzkości skierowanej ku osiągnięciu niebytu. Występująca tu świadomość bezwzględna nadzwyczaj źle jest odgraniczona od mającej uchodzić za

mi się do pamięci wiele przykładów, pozwolę sobie jednak wspomnieć tylko „satyra” i tego przywalonego przez bogów ciężarem Olimpu tytana, co to przedarłszy się przez całe łono ziemi i ujrawszy nieskończoność po za nią, wraca i trafiwszy na ucztę wesołą nieśmiertelnych, woła: „O bogowie! jest Bóg!”

¹⁾ Mam to za paradoksalno-filozoficzny dowcip.

stosunkową, a nawet może zarodkową w scenie poprzedniej. Zresztą cała ta koncepcja z wyżyn nadobłocznych spadnie natychmiast ostatecznie w pyły ziemskie.

Ale przejdźmy do zakończenia: Prometeusz dowiaduje się, że iskra jego posłużyła do podpalenia sąsiedniego miasta — nie wiadomo jak — i rzuca następującą klątwę Syzyfowi:

„Iżeś boskiego ognia w pierś nie wchłonał, a ziemi zeń pożogę uczynił. Iżeś do góry za światłem nie rósł, ale rzeczy górne do siebie ściągnął — na wiek, na dwa, na dwakroć po tysiąc lat oddaję cię... bezruchowi głązów...”

Zakończenie to ostateczny chaos wprowadza w całość. Nagle ni stąd, ni zowąd Prometeusz przetwarza się w coś przypominającego Hrabiego, Syzyf — Pankracego z „Komedyi Nieboskiej”; nagle z wyżyn czystej filozofii zstępujemy do czegoś wyglądającego na chęć fatalną, a należącą gwałtownie skądinąd najszczerzszym wierzeniom Konopnickiej-humanistki, chęć wykazania, że światło świadomości tylko do zbrodni może pobudzić do demosu podobnego Syzyfa.

A możeby kto chciał koniecznie widzieć i tu, jak i w scenie III-iej, w tytanie-kamieniarzu ludzkość całą. Za cóżbyśmy w takim razie musieli mieć poprzednią blagę Prometeusza o dobrodziejstwach siły w harmonii i miłości, jakie spłynęły na ludzkość za jego sprawą. Zresztą, czémżeby wtedy był sam Prometeusz? Bogiem chyba, ale jakimś bardzo naiwnym, bo karzącym po ludzku, marnie po ludzku, za to, co sam — nierozważą swą, nierozumieniem, nieprzewidzeniem — napsocił. Zapewne i z Prometeuszowem, tak daleko sięgającym ograniczeniem trudno się pogodzić, ale zawsze łatwiej.

Daliej pozostają otwartemi pytania: 1) co oznaczać ma w przenośni tej — zakłęcie w głazy demosu czy ludzkości — Syzyfa? Gdyby to jeszcze wyglądało na zatracenie wszelkiej myśli we wszechświecie, w ziemi upostaciowanym, zatracenie na wieczność!... 2) A cóż będzie po upływie owego terminu zaklęcia, na który w naiwności swój odrazu zdecydować się Prometeusz nie może, a który wobec całego tego sypania wiekami, nie mówiąc już o nieskończoności, bardzo jest jakoś niepokąźny.

Ale zanadto się w to wszystko zagłębialmy. Sceny te nawet każda z osobna znaczenia twórczego nie mogą mieć oczywiście ani pod względem filozoficznym, ani estetycznym. Co się zaś dotyczy całości, to — nieustanne chwanie się punktów widzenia autorki, sprowadzające podstawianie coraz nowych lub innych pojęć pod jedne i te same symbole; przerzucanie, prześlizgiwanie się, lepiej powiedzieć z niby-filozofii, naprzemian makro- i mikrokosmiczną — na niby-socjologią, wytwarza-

ją taki chaos sprzeczności, że o wartości „Prometeusza i Syzyfa” nie ma możności nie określonego powiedzieć.

Rozwiodłem się nad tém tak szeroko głównie dlatego, że nigdzie tak wyraźnie, jak tu, nie uwydatnia się niezdolność ducha poetki: 1) do skupienia się na jakiegokolwiek bądź wielkiej koncepcyi, chociażby nawet cudzej; 2) do ujęcia pierwiastka wielkości w myśli oderwanój, którój tak wiele daje ona miejsca w swych pismach.

XII.

Cóż mi jeszcze pozostaje? Streścić się chyba. Postaram się uczynić to w kilku słowach. Analiza ścisła wszystkich utworów Konopnickiej podzieliła mi je na piękne i nie-piękne. Przyglądając się pierwszym dostrzegłem: 1) że trzymane są one niezmiennie w tonie jednego tylko uczucia-smutku; 2) że obejmują zawsze tylko bardzo mały zakres życia rzeczywistego czy idealnego; 3) odznaczają się jakąś cichą prostotą, jakąś szlachetną i skromną miernością. Z drugiej zaś strony w utworach nie-pięknych widzę ciągle, a nadaremne wysiłki, dyktowane przez chęć: 1) albo objęcia odrazu szerokich widnokręgów życia czy myśli, co doprowadza do dysharmonii i sprzeczności; 2) albo wyjścia z granic smutku w dziedzinę humoru, czystego myślenia, lub jakiegokolwiek rodzaju wielkości, co uderza niesmakiem, przesadą, pretensjonalnością, karykaturalnością nawet czasem.

Z tych danych rodzi się jako wniosek hipoteza: niewątpliwie istniejące światło natchnień poetki przelotne jest i małe, uniemożliwiające przyjrzenie się rzeczom wielkim i przyglądanie się z ową „długą cierpliwością” jakimkolwiek bądź rzeczom; samo zaś to światło — jest owém jedyném uczuciem, stanowiącém ton główny wszystkich pięknych jój utworów...

Józefat Nowiński.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



F. 7571